12 stron druku

Cena 10 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok IV

Kraków, dnia 12 stycznia 1947 r.

Nr 2 (111)

FRANCISZEK GIL

ROZWAŻANIA SZCZECIŃSKIE

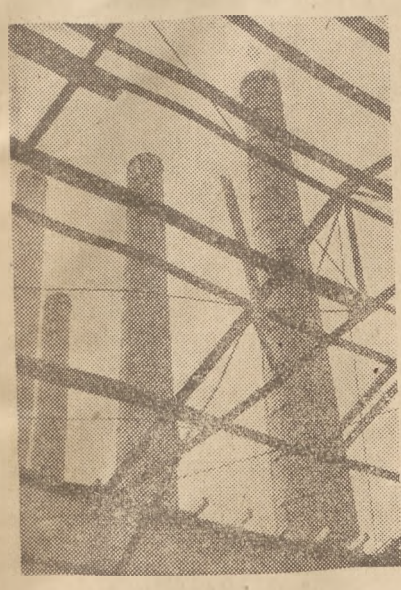

Fabryki

Wybrzeże, w styczniu 1947 r.

Pozwólcie mi na chaos.

Zmęczyły mnie proste konstrukcje nabrzeżnych suwnic, równo wcięte baseny i nieomylnie biegnące mola. Znużył mnie świat, dzień i noc zakreślany przez ogromne ramiona żelaznych dźwigów, świat, w którym nie tylko Delegatura Rządu dla Spraw Wybrzeża, ale knajpy i dziewczęta portowe mądrze i celowo zdążają do coraz wyższych przeładunków.

Długo trzeba się uczyć widoku morza. Równa, niczym nie zaznaczona przestrzeń wodna zwalnia od krajobrazu. Ląd, w którąkolwiek stronę się obrócicie, zaczepia was o drzewo, kamienicę, przyjaciół i znajomych. Molo zostawia za wami tylko jeden przewód. Z przodu i po bokach zwalnia wzrok, słuch i dotyk. Na wiecznej drodze ku nieboskłonowi oczy nie napotykają żadnego pagórka, żadnego krzewu, żadnej tajemnicy. Człowiek widzi od razu wszystko, a nie widząc niczego, staje się bardziej samotny. Szuka nowego systemu równowagi dla ciężaru odcumowanego nagle od ludzi i wzgórz lądowego krajobrazu.

Może dlatego tak długo przeprowadza się oczyma okręty, może dlatego, choć się nie zna zupełnie ich wnętrza, duszy i serca, mimo to ofiaruje się im tyle wzruszenia: są samotne i jedyne na ogromnym, płaskim obszarze wodnym. Nie widać z daleka na ich pokładach ludzi. Ale nie ma człowieka, który by poruszający się w pustyni wodnej okręt odczuł inaczej niż bratni znak życia.

GORĄCZKA ROLNIKÓW

Długo trzeba się uczyć portów, choć żadne miasta nie zostają tak długo w oczach jak, wtulone w ramiona zatok, miasta portowe. Z planów poznaje się ich celowość, ze zmęczenia nóg — ich rozległość.

Kiedy w październiku wyjeżdżałem z Krakowa nad morze, wielu z moich znajomych pytało jak na komendę: „zwariowałeś... w zimie...?“

Wstydzę się ich prostactwa.

Dla nich morze kończyło się w sierpniu, kiedy ostatni raz zdejmowali kąpielowe majtki. Mimo to ich słowa były dowodem, jak ogromna rewolucja morska dokonała się u nas przez Gdynię. Po raz pierwszy w naszych szlachecko-urzędniczych dziejach morze przestało przyciągać jako „lazur“ i straszyć jako „toń“, a poczęło dawać wysoki zarobek.

Ludziom jadącym do Gdyni marzyły się nie plaże i nie „bezdenne otchłanie“, a bogate wille na Kamiennej Górze, sklepy opodal wielkich cudzoziemskich statków, portowe zarobki przy przeładunkach, w chłodniach i magazynach. Gdyńskie nabrzeża urabiały pierwsze pokolenie naszego narodu, dostatnio żyjące z morza, i pokoleniu temu, jak nagle wzbogaconemu krewniakowi, pozazdrościła cała, wciąż jeszcze rolniczo-urzędnicza, Polska.

Dzieje wypraw w doliny złota, to dzieje gorączkowych poszukiwań złotych żył.

Któż zaprzeczy, że gorączka, która w ciągu dziesięciu lat wzniosła wielki nowoczesny port i wielkie nowoczesne miasto, nie była gorączką rolników i urzędników coraz śmielej odkrywających żyłę nieznanego złota, nową arterię dochodu społecznego?

KICZ MORSKIEJ BURZY

Myśleć „morsko“, to znaczy myśleć o podnoszeniu dochodu społecznego ludności kraju przez maksymalne gospodarcze wyzyskanie pięćsetkilometrowego dostępu do morza. Czyli przewodzić maksymalnemu i najbardziej zyskownemu związaniu gospodarczemu zaplecza ze światem — poprzez urządzenia gospodarcze wybrzeża.

Myśl tę zwodzą u nas jeszcze ciągle na manowce trzy kompleksy, trzy morskie kicze: „egzotyzm“, „letniskowość“ i „żywiołowość“ wzgl. „demoniczność“. Robinsony, Juraty i zatopione Tytaniki ciężko zaważyły na naszej publicystyce i literaturze, stworzyły swoistą niezwykłość i anormalność odczucia morza, i u tak już w znakomitej większości przez wieś wychowanego narodu.

U progu czasu, w którym na każdego z nas przypada dziesięć razy więcej morza niż przed wojną, najmniej chyba uwagi poświęcono trzeciemu z nich — kiczowi morskiej burzy.

Po paru zaledwie dniach obserwacji ruchu statków w naszych basenach portowych wiadomo, że mamy wielkie porty i wielkie wybrzeże, ale nie pływamy po morzach. Bez zeszytów statystycznych od razu widać, że Norwegowie i Szwedzi mają po kilka milionów tonażu, a my nawet nie kilkaset tysięcy. Za przewóz naszych albo kupowanych przez nas towarów zarabiają Szwedzi, Norwegowie, Duńczycy, Holendrzy, Anglicy i Amerykanie, my zarabiamy tylko za postój okrętów w porcie i za usługi portowe. Jeszcze przed wojną płaciliśmy obcym armatorom za frachty około 250 mil. zł rocznie, gdy własna żegluga morska dawała nam zaledwie 25 mil. zł dochodu brutto.

Przez dziesięć bez mała wieków, za skwapliwą zgodą naszej szlachty, „wyręczał“ nas w handlu morskim Gdańsk. Kupiec nasz nie tylko nie dopływał własnym statkiem z własnym towarem do obcego portu, ale nie docierał nawet do własnego wybrzeża. Na długo przed morzem, często już w Sandomierzu, towar jego z pięćdziesięcioprocentowym zarobkiem przejmował pośrednik gdański, dyktujący równocześnie krajowi ceny za tak samo w porcie przejęte dlań towary zamorskie. Ów obustronny zysk gdańskiego pasożyta znajduje się dziś w naszych rękach. Mieliśmy już w dziejach naszych dostęp do morza równy dzisiejszemu. A jednak dopiero dzisiaj to samo wybrzeże jest nasze. Bo po raz pierwszy jest gospodarczo — nasze. Nikt nas tu już nie „obsługuje“: mamy własne porty i własnych ludzi w portach. Ale nie opanowaliśmy jeszcze morza. Na wodach bałtyckiego basenu nie widać naszego pięćsetkilometrowego udziału w jego brzegach. Naród morski, to naród pływający po morzach, żyjący z mórz i ze stałych stosunków z portami świata. Wielki brzeg morski może być także wielką pustynią, a wielkie wybrzeże bez portowych urządzeń przeładunkowych, bez okrętów i stałych kontaktów handlowych może dać utrzymanie co najwyżej ekspedycji geologicznej.

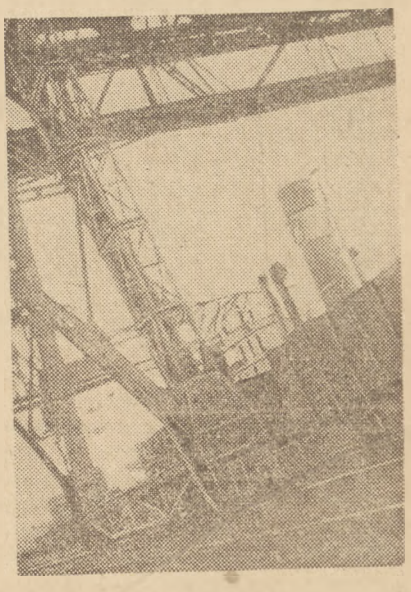

Porty

Suto zarabiały na nas narody morskie, własnymi okrętami dostawiając nam towary i pośrednicząc równocześnie w ich sprzedaży. Zarabiały także na nas, pośrednicząc w kupnie naszych towarów i odwożąc je za morze. Pływały za nas po morzach — a nam sprzedawały morskie burze. Płaciliśmy nie tylko za pośrednictwo i przewóz towarów — po raz pierwszy i drugi, płaciliśmy po raz trzeci za najzwyczajniejsze przeżycia zawodowe załóg przewożących owe towary, za morskie burze i „morskie“ widoki, za foki i rekiny, za tysiące wyimaginowanych potworów morskich. Co druga powieść w naszych wypożyczalniach, co podrzędniejsze tłumaczenie z anglosaskiej literatury to jakaś tam zgrabnie dla naiwnych rolników przyrządzona morska burza, to jakaś tam morska awantura.

Ileż zarobili sprytni Anglosasi tylko na tej dostawie burz i potworów morskich z drugiej ręki dla poczciwych szlachciców i rolników. Tandeta morskiego „egzotyzmu“, morskiej „fantastyki“ i morskich powieścideł zalewała nas tym silniej, im słabiej byliśmy związani z morzem gospodarczo. Z tym większą lubością smakowaliśmy w oleodrukach im mniejszy udział miało w pracy wytwórczej narodu. Niewielu z nas zdawało sobie sprawę z policzka tej „duchowej“ rekompensaty za dziejową nieudolność i lenistwo w organizowaniu własnego wybrzeża, własnego morza.

PIERWSZY KONKURS LITERACKI

DLA CZYTELNIKÓW »ODRODZENIA«

NA TEMAT

KTÓRĄ KSIĄŻKĘ DWULECIA 1945—1946 UWAŻAM ZA NAJLEPSZĄ?

UCZESTNICY KONKURSU PROSZENI SĄ O WYMIENIENIE JEDNEJ, DWU, NIE WIĘCEJ JEDNAK NIŻ TRZECH KSIĄŻEK POLSKICH, WYDANYCH W LATACH 1945—1946, KTÓRE UWAŻAJĄ ZA NAJWYBITNIEJSZE.

JAKKOLWIEK NIE STANOWI TO WARUNKU UDZIAŁU W KONKURSIE, NADESŁANIE MNIEJ LUB WIĘCEJ OBSZERNEJ WYPOWIEDZI UZASADNIAJĄCEJ DOKONANY WYBÓR JEST JEDNAK POŻĄDANE. NAJCIEKAWSZE, NAJTRAFNIEJSZE CZY TEŻ NAJORYGINALNIEJSZE WYPOWIEDZI OPUBLIKOWANE ZOSTANĄ NA ŁAMACH „ODRODZENIA“.

POMIĘDZY UCZESTNIKÓW KONKURSU, KTÓRZY WYMIENIĄ PRZYNAJMNIEJ JEDNĄ Z TRZECH KSIĄŻEK, JAKIE OTRZYMAJĄ NAJWIĘKSZĄ ILOŚĆ GŁOSÓW, ROZLOSOWANYCH ZOSTANIE

100 KSIĄŻEK OGÓLNEJ WARTOŚCI OK. **40.000 ZŁ.**

POMIĘDZY TYCH UCZESTNIKÓW KONKURSU, KTÓRZY WYMIENIĄ WSZYSTKIE TRZY KSIĄŻKI O MAKSYMALNEJ ILOŚCI GŁOSÓW, ROZLOSOWANE ZOSTANĄ

TRZY NAGRODY PIENIĘŻNE

PIERWSZA — 10.000 ZŁ.
DRUGA — 6.000 „
TRZECIA — 4.000 „

ODPOWIEDZI (WRAZ Z EWENTUALNYMI WYPOWIEDZIAMI UZASADNIAJĄCYMI WYBÓR) NADSYŁAĆ NALEŻY Z KUPONEM ZAMIESZCZONYM W NINIEJSZYM LUB TEŻ W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „ODRODZENIA“ W KOPERCIE ZAADRESOWANEJ: REDAKCJA „ODRODZENIA“, KONKURS LITERACKI, KRAKÓW, BASZTOWA 15. m. 8. IMIĘ I NAZWISKO ORAZ DANE DOTYCZĄCE WIEKU, ZAWODU, ADRESU UCZESTNIKA KONKURSU ZAWIERAĆ POWINNA ZAŁĄCZONA ODDZIELNA KOPERTA, ZAKLEJONA I OPATRZONA GODŁEM.

TERMIN NADSYŁANIA ODPOWIEDZI UPŁYWA Z DNIEM 15 LUTEGO 1947.

W WYPADKACH WĄTPLIWYCH ROZSTRZYGA DATA STEMPLA POCZTOWEGO.

O MORSKIE PROPORCJE W PRZEDSTAWIENIU MORZA

Rzeczą publicystyki i literatury będzie przywrócić naszej morskiej myśli, naszemu odczuciu morza, równowagę zwichniętą przez kicze, obficie i skwapliwie podsuwane nam przez obce narody za odsunięcie się od morza.

Sprawą ludzi pióra jest zadomowić w wyobraźni przeciętnego Polaka dźwigi obok plaż, stocznie obok rybackich wiosek, przeładunki obok chmur i lazurów, rejsy polskich frachtowców i polskie centra szkolenia morskiego obok niezmierzonych wód i portowych knajp. Któż bowiem ma uzdrowić nasz typowo lądowy cykl myślenia o morzu? Któż ma ustawić na właściwym i obiektywnym miejscu porty i dźwigi, maklerów i okręty, któż ma ukazać, że plaża i lazur, knajpy i egzotyczne wyspy są nadbudową produkcji, nadbudową pracy rybaka, portowego robotnika i marynarza?

Ostatnie dwudziestolecie — dwudziestolecie jedynego w naszych dziejach wysiłku morskiego — stworzyło dostateczne podstawy materialne do przywrócenia obiektywnych morskich proporcji naszej myśli morskiej, naszemu przedstawieniu morza.

W ciągu dziesięciu lat zbudowaliśmy nowoczesny port, który połączył nas ze światem 49 regularnymi liniami okrętowymi. Mieliśmy w tym porcie elewatory, łuszczarnie, olejarnie, stocznie, hale i magazyny. Odbudowaliśmy po wojnie nie tylko ów port: wyniszczeni i ograbieni, bez obcych kapitałów, bez żadnej pomocy, własnymi rękoma i własnymi maszynami w ciągu półtora roku przywróciliśmy zespołowi Gdańsk-Gdynia 65% przedwojennej zdolności przeładunkowej.

Skalę tego wysiłku można sobie uzmysłowić jedynie w zestawieniu ze stratami wybrzeża nowej Polski w ostatniej wojnie. Eugeniusz Kwiatkowski ocenia je na 300 milionów dolarów przedwojennych i to bez strat mienia prywatnego, bez doliczania wartości tzw. trofeów wojennych, bez taboru wodnego i floty handlowej i wojennej.

Ten wysiłek, na historyczną już miarę, przywrócił sprawie morskiej zwichniętą w biegu naszych dziejów równowagę, jeśli chodzi o gospodarstwo narodowe. Nie nadążyła jednak za nią, za owym wciąż wzrastającym spółczynnikiem pracy morskiej rolniczego dotychczas narodu, nasza świadomość: bo za pracą inżynierów i robotników wybrzeża, pracą okrętowych załóg, stoczni i kranów nie nadążyła nasza literatura, nie nadążył nasz dziennikarz.

Z WIEŻ MODŁÓW I Z WIEŻ PRODUKCJI

Prawie przez tydzień jeździłem na parę godzin dziennie za Szczecin, do odbudowującej się huty Stołczyn. Szóstego dnia uciekłem. Poczułem nagle wśród dzień po dniu zrastających się maszyn i przewodów, że coraz bardziej osacza mnie tu zewsząd jakaś wyższego rzędu celowość.

Była to wielka okazja przyjrzenia się hucie zdławionej przez fronty i rozbitej, a teraz podzielonej na osobne światy naprawcze, na mozolnie calejące, ogromne i malutkie, ogniwa fabryczne, które niedługo mają znów wspólnie ruszyć — jako huta. Póki sprzęgło produkcji nie spoi odbudowanych działów w nieustającą całość, można jeszcze dotykać wiatrowych form „dmuchu", zaglądać w gardziele przewodów, lekceważyć transmisje i koła zamachowe.

Jednego dnia, piętro po piętrze, po żelaznych schodach i drabinkach wspiąłem się na szczyt wielkiego pieca. Może była to sugestia rozmachu świeżo poznanych procesów wytwórczych, ale za każdym stopniem czułem jakąś funkcjonalną, techniczną nieodwołalność swego kroku, nie ustające odcinanie odwrotu. Ogarniany krajobraz był światem mądrych procesów technicznych, światem przewodów, suwnic, lin i wyciągów — pracą swą podtrzymujących zdobytą przeze mnie wysokość.

Oto kolejny problem przywrócenia równowagi procesowi poznawania i nauczania kraju. Przez osiem najbardziej chłonnych, lat gimnazjalnych uczono nas Polski z wież katedr i ze szczytów kurhanów. Zwiedzaliśmy tylko cmentarze i muzea, tylko jej historię. Nikt nie zatroszczył się o równowagę: dla doznania kraju z wież kościołów — doznania poddanej niebu malowanki — nikt nie pokazał nam naszej ziemi z wież przemysłu jako zorganizowanego procesu produkcji. Czymże były wieże katedralne? Elementem wznoszenia ku Bogu albo elementem panowania nad okolicą; ich wyniosłość nie jest funkcją pracy. Wieże przemysłu są funkcją procesu pracy, ich wysokość nie jest elementem panowania — jest elementem produkcji. Świat widziany ze szczytów hut jest doznaniem na wskróś społecznym, jest głębokim doznaniem organizacji społecznej, społecznego procesu produkcji, podtrzymującego malowankę.

PERSPEKTYWA JEST JUŻ DANA

Nieznana z imienia i nazwiska, ze zmagań serca i wzlotów ducha, olbrzymia armia ludzka odbudowuje Polskę. Od Gdyni do Szczecina pociąg mija tylko wsie i lasy brzozowe, pola i sosnowe lasy. Cóż jeszcze może chować ten kraj przed oczyma biegnącego pociągu? Tartaki zaszyte w lasach? Gorzelnie i młyny wśród pieszczystych gleb i błękitnych jezior?

Ale kiedy przyjeżdżam do Szczecina, mówią mi: huta Stołczyn, cukrownia Gumieńce.

Jeśli inżynierowie i robotnicy huty rozpalą w terminie pierwszy wielki piec, to w marcu tego roku odlewnie Pomorza otrzymają pięć i pół tysiąca ton surówki. Jeśli w terminie zostanie zakończona przebudowa drugiego wielkiego pieca o powiększonej objętości, ta sama huta w roku 1948 da przemysłowi metalowemu Pomorza 180 tysięcy ton surówki rocznie, czyli jedną piątą produkcji przedwojennej.

Na oczach niemieckiej granicy odbudowuje się pod Szczecinem i wstępuje w tegoroczną kampanię cukrownia Gumieńce. Któż opisze, kiedy Polska się dowie, jak dramatyczna walka toczyła się tu między inżynierem polskim i niemieckim, który zostawił cukrownię bez skomplikowanych mechanizmów, bez jakichkolwiek planów i rysunków, licząc, że Polacy nie dadzą sobie z tym rozgardiaszem technicznym rady. A jednak polski inżynier i polski robotnik, po paru miesiącach zmagań na oczach Niemców, puścili w ruch cukrownię, która już w tegorocznej kampanii da sto tysięcy worków cukru. Następnego dnia po otwarciu cukrowni odbywa się w Szczecinie uroczysta inauguracja roku akademickiego nowokreowanej Akademii Handlowej. Studenci uśmiechają się z lekka, gdy wiceminister oświaty mówi do nich, że szkołę tę dała im demokracja, ale równocześnie witają tychże delegatów Ministerstwa Oświaty, Ministerstwa Żeglugi i Handlu Zagranicznego, profesorów i wojewodę oklaskami, jakich nie otrzymuje żaden minister, żaden mówca w głębi kraju. Bo ten siedzący na podium profesor, wojewoda, delegat Ministerstwa Żeglugi jest tu w Szczecinie nie administracyjnym regulatorem i koordynatorem: jest współtwórcą nowego życia. Współtwórcą szkoły, mieszkania, stołówki i stypendium. Współtwórcą nowej perspektywy, wielkiej szansy przydanej ich życiu.

Tego samego dnia zakładają tu spółkę akcyjną — Przedsiębiorstwo Żeglugi Przybrzeżnej „Gryf", którego udziałowcami są miasta morskie. Z wiosną tego roku nasz pięćsetkilometrowy brzeg morski ożywi i złączy gospodarczo kabotaż. Z Gdyni do Szczecina i ze Szczecina do Gdańska ludzie i towary pójdą już także drogą morską.

Potem do Szczecina, do Polski, przybywają transporty Polaków, którzy tamtą Polskę spędzili w Berlinie, w kopalniach Westfalii i w hutach Nadrenii. Przybywają do polskich hut, do polskich kopalń.

Potem 50 robotników, członków spółdzielni mieszkaniowej, otrzymuje 50 dwupokojowych mieszkań z kuchnią i łazienką; potem zwalony w porcie ogromny tor żelazny wielkiego dźwigu, odbudowywanego przez polską żeglugę na Odrze, jest już niedaleko rzeki: w styczniu okręty szwedzkie przestaną wystawać po kilka dni przy węglowym nabrzeżu, zmontowany znów dźwig załaduje motorowe fregaty w ciągu parunastu godzin. Dziś na naszych nabrzeżach szczecińskiego portu jest jeszcze jak na prowincji, ale już w tym roku Szczecin przeładuje pół miliona ton węgla.

Kiedy jestem w Poznaniu, zastaję tu wielką wystawę „Anglia odbudowuje się". Kiedy jestem w Sopocie, Anglia odbudowuje się w Sopocie. Panie w futrach i perlonach witają jej otwarcie.

Ale kiedy godzinami włóczę się po wstającym w ciężkim trudzie mieście fabrycznym, zwącym się huta Stołczyn, dyrektor administracyjny mówi mi: „Jestem tu od roku: żeby choć jeden człowiek, żeby choć raz jakiś turysta przyszedł do mnie i powiedział mi, że chce zwiedzić hutę — żeby mu dać przepustkę..." Kierownik warsztatu naprawczego, w którym było tylko jedno wielkie rumowisko, a dziś dzięki temu inżynierowi stoi sześć pozyskanych tokarni, dwie heblarki, frezarki, dłutownice, wiertarki, chodzi ze mną wśród hałd złomu i koksu i mówi: „Najgorsze, proszę pana, nie ma uznania...".

Już nie o hutach i stoczniach, nie o wielkich zakładach i fabrykach — o odbudowie każdego dźwigu można u nas pisać opowieść stokroć dramatyczniejszą niż setki zagranicznych śmiecideł, usłużnie podawanych do poduszki w naszych wypożyczalniach. Ale nasi pisarze jeżdżą tylko za granicę, a nasi dziennikarze przepisują tylko algebrę dyrekcyjnych sprawozdań.

I kiedy widzę, jak cieszą się inżynierowie, robotnicy portowi i fabryczni, gdy się im mówi, że chce się pisać o ich życiu i pracy, kiedy w każdej z tych mijanych, powstających hal fabrycznych ulegam poczuciu niedołężności perspektywy zabranej w drogę, czuję także za każdym kilometrem, że wszędzie przybywam za późno, że za każdym podjętym wierszem o widzianych — krzywdzę nie widzianych.

Boję się, że pomniejszyła nas przeciągająca przez Polskę epoka, że obniżyła wartość próby prywatnego, beznamiętnego spojrzenia, że owa perspektywa, za którą obijamy się jak ćmy jest już dana w gigantycznym wysiłku odbudowy.

Cóż zostaje tu jeszcze człowiekowi pióra? Niewiele miejsca na fantazję. Tyle co na kosmetykę. Oby tylko podołać przekazowi bitw wygranych i klęsk przemilczanych, którego domaga się epoka. Oby tylko podołać jej radości i zwątpieniom, jej rewolucyjnemu przyśpieszeniu.

I kiedy przeglądam popularne u nas tygodniki, kiedy widzę bez przerwy „notatki z Anglii", „notatki paryskie", „notatki nowojorskie", kiedy nieustannie spotykam się z zalecaniem czeskiego zdrowego rozsądku, a pomijaniem polskiego pionierstwa odbudowy, bezimiennego pionierstwa mas, którym zapłata za pracę wciąż jeszcze nie starcza na życie, a które jednak tę pracę wciąż wstającym fabrykom ofiarnie oddają, targa mną głuchy żal o samotność trudu tych ludzi, żal o samotność moją w drodze przez tę heroiczną, tak mało znaną, Polskę.

Franciszek Gil

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

Dziewięćdziesięciolecie G. B. Shawa

Jeśli idzie o świat literacki, to nie tylko cudzoziemcy, ale i Anglicy mieli na co patrzeć osiemnaście lat temu, w styczniu r. 1928, kiedy w Opactwie Westminsterskim składano prochy Tomasza Hardy'ego w sławnym Kącie Poetów. W dwu szeregach szli obok siebie najwybitniejsi przedstawiciele pióra i intelektu ówczesnej Anglii: Galsworthy, James Barrie, Kipling, A. E. Housman, Edmund Gosse i George Bernard Shaw. Hesketh Pearson, biograf Shawa, opowiada o charakterystycznej scenie, jaka się rozegrała wtedy między Kiplingiem i Shawem. Obydwaj pisarze nigdy się jeszcze dotąd nie zetknęli i Kipling wyraźnie nie chciał poznać osobiście Shawa. Mimo to prof. Gosse przedstawił go Shawowi, który z dobrotliwą ironią opowiadał później, jak to przedstawiciel imperializmu angielskiego niechętnie i pod przymusem poddał się tej przykrej ceremonii: „Kipling był zdenerwowany i niespokojny, posunął się nieco ku mnie, wyciągnął szybko rękę, powiedział „Howdeyde" i momentalnie rękę cofnął, jakby ledwie, ledwie śmiał mi ją podać. I zaraz uskoczył jak spłoszony zając do kąta, gdzie już Housman roztoczył nad nim opiekę. Już podczas pochodu kręcił się niecierpliwie, zmieniał krok i za każdym razem, gdy to robił, o mało co się nie przewróciłem. Swoją drogą, musieliśmy dziwnie wyglądać w tym zespole. Galsworthy i ja wielkiego wzrostu, po sześć stóp, byliśmy najbardziej imponujący. Barrie, widząc, że nam nie dorównuje, robił wszystko, by się wydać choć o parę cali wyższym. Kipling czuł się zupełnie nieswojo".

Nie żyją już uczestnicy tego pogrzebu, jeden po drugim opuścili ten świat. Kipling, Galsworthy, Barrie, Gosse i inni; jedynie Shaw pozostał przy życiu. Najdłużej też po nim zostanie pamięć osoby i dzieła — jeśli powszechna opinia nie wprowadza nas w błąd. Ludzie, którzy będą szukać po nim pamiątek, jak to czynią w miejscu urodzenia i śmierci Szekspira, nie będą musieli tym razem odbywać pielgrzymek tak daleko.

O kilkanaście kilometrów na północ od Londynu, koło miasteczka Wellwyn Garden City, w małej osadzie Ayot St. Lawrence, znajdą jego jednopiętrowy cottage, otoczony hektarowym ogrodem i cały obrośnięty bluszczem. Już przed czterdziestu laty wybrał go Shaw na rezydencję. Bo, jak wieczny kpiarz z napisów na nagrobkach sąsiedniego cmentarza wywnioskował, okolica sprzyja długowieczności. Przeżywszy więc Disraelego, Gladstone'a, Unionistów, sędziwą królowę Wiktorię, dwie wojny światowe, i tylu, tylu sławnych współczesnych, siedzi sobie znakomity brodacz w ciszy i spokoju... Nie przyjął tytułu lorda ani Order of Merit. Przystał tylko na to, że go zamianowano obywatelem honorowym londyńskiej dzielnicy St. Pancras, gdzie przed pół wiekiem, jako radny zarządu miejskiego, brał udział w pracach gminy. Inne wyróżnienia uważa za zbyteczne. Wystarcza, że jest Bernardem Shaw. I niech mu nikt nie przeszkadza, kiedy po przeczytaniu gazet porannych, począwszy od oficjalnego „Timesa" na marksistowskim „Daily Worker" skończywszy, uda się do swej ciasnej pracowni w ogrodzie, z dala od cottage'u. Pawilon jest ruchomy jak scena teatralna. Za poruszeniem mechanizmu może go nastawić oknami ku słońcu jak scenę obrotową w teatrze. Pisarz lubi się wygrzewać w słońcu. Lubi w nim pracować. Z dawnego wspaniałego Shawa, rudowłosego, tryumfującego, barczystego, brodą, postawą i oczami dziwnie przypominającego posąg Mojżesza Michała Anioła, została tylko skóra i kości, biała broda, żywe oczy i umysł zawsze żywy i interesujący się sprawami świata. Na łamach gazet wciąż się ukazują jego ciekawe artykuły, a reporterzy otrzymują pełne dowcipu i trafności odpowiedzi.

Mędrzec się szanuje. Gdy w dniu, w którym ukończył swój dziewiąty krzyżyk, w Londynie i innych miastach obchodzono jego święto, nie ruszył się z Ayot St. Lawrence. Był niezwykle poważny i zamyślony. Interesujące byłoby śledzić tego dnia jego myśli. Być może, że przed jego oczyma przesuwały się ważniejsze etapy bujnego życia, obfitującego nie tyle w wydarzenia, ile w przemyślenia i poszukiwania sensu istnienia. Czy wspomniał o Irlandii, która przez trzysta lat była miejscem pobytu jego przodków, wywodzących się z północnej Anglii, z pogranicza Szkocji, a która, nie zdoławszy ich przerobić na Irlandczyków, pozwoliła im, a szczególnie jemu, inaczej patrzeć na Anglię niż tym Anglikom, którzy nigdy nie emigrowali na dłuższy czas z kraju? Czy wspomniał o Dublinie, gdzie się urodził i przeżył okropne dzieciństwo wskutek dysharmonii, jaka panowała w domu między matką, kobietą niezwykle uzdolnioną do muzyki, a ojcem nałogowo nadużywającym whisky and soda? Czy wspomniał o demoralizującym wpływie innych dorosłych członków rodziny? Nigdy nie żałował, że — jak Szekspir — mało uczęszczał do szkół, które uważał i uważa za miejsce najuciążliwszej nudy. Wolał pracować sam, uczyć się samodzielnie, bez niczyjego kierownictwa, idąc za głosem wewnętrznym, który kazał mu rwać się do książek Dickensa, Bunyana, klasyków powieści XVIII wieku, Szekspira, partytur Bacha, Mozarta, a szczególnie Wagnera? Kiedy, mając lat dwadzieścia, rozstawał się w 1876 r. na zawsze z Irlandią, miał bogaty zapas wątków i przeżyć — podobnie jak Szekspir, tyle lat wcześniej wybierający się z Stratfordu do Londynu.

Mędrzec z Ayot St. Lawrence musi z satysfakcją wspominać pierwsze chwile po przyjeździe do Londynu, siedemdziesiąt lat temu. Jeżeli u steru Anglii stoją dziś członkowie Labour Party, żywioły radykalne, dążące do przebudowy systemu ekonomicznego i społecznego Anglii, to on jest w dużej mierze sprawcą i przyczyną tego politycznego nurtu. Nie sam oczywiście, lecz stojąc w rzędzie ludzi takich jak Henry Mayers Hyndman, Thomas Davidson, John Burns, Keir Hardie, William Morris, Cunninghame, Grahame, Sydney Olivier, a zwłaszcza Beatrice Webb i Sidney Webb, dzisiaj lord Passfield. Decydujący był rok 1882, kiedy Shaw usłyszał po raz pierwszy przemówienia amerykańskiego działacza. Henry George'a, który projektował przebudowę społeczną drogą znacjonalizowania latyfundiów. Henry George oderwał uwagę Shawa od nauki i religii i skierował go ku zagadnieniom ekonomicznym, ukazując mu w pierwszej rozmowie bezwzględną konieczność poznania dzieł Karola Marxa.

Studia nad Marxem oderwały go od pisania powieści, a dały mu ważną pozycję w gronie „Fabian Society", pozwoliły mu się wyzbyć początkowej, aż komicznej, nieśmiałości i zrobiły zeń mówcę, szerzącego przez kilka lat, bezinteresownie, przy każdej okazji, na rogach ulic, na platformach oratorskich Hyde Parku, wobec przygodnie zebranych słuchaczy, socjalistyczne credo, przystosowane do pojęć i klimatu Anglii. Tysiące przemówień, stały kontakt z wybitnymi umysłami, praca w gminie londyńskiej, dająca bezpośredni

wgląd w potrzeby ludności, były doskonałą szkołą dla przyszłego reformatora społecznego. Żywość umysłu, zdolność oryginalnego ujmowania zagadnień i błyskotliwość przejawiały się również w pracy publicystycznej Shawa.

W muzyce forsował niepopularnego wówczas Wagnera, w teatrze, wraz z Williamem Archerem, Grenvillem Barkerem i Greinem, rozpoczął kampanię za wprowadzeniem ideologii i dzieł Ibsena. Tendencje socjalne norweskiego pisarza budziły w londyńskim krytyku i działaczu społecznym żywy oddźwięk. Studiując Ibsena, aby poznać i przekonać doń opinię, Shaw wyrabiał w sobie równocześnie pogląd na sztukę dramatyczną. W rozważaniach nad współczesnymi i dawnymi dramaturgami angielskimi Shaw doszedł do wniosku, że nikt spośród nich, nawet wielki Szekspir, nie dorównał Ibsenowi, mędrcowi, obserwatorowi i demaskatorowi zła społecznego. Patrząc krytycznie na współczesne sobie społeczeństwo, Shaw wykrywał jego obłudę, fałszywy romantyzm, egoizm uświęconych tradycją instytucji i uznał, że dramat z tezą przewyższa sztuki obracające się wokół zagadnień czysto poetyckich.

Z ibsenowskiego ducha wyrosły też pierwsze próby dramatyczne dzisiejszego dziewięćdziesięciolatka z Ayot St. Lawrence. Już w Dublinie, pracując jako inkasent przedsiębiorstwa parcelacyjnego, zapoznał się Shaw ze slumsami W Londynie zetknął się z tą kwestią w formie jeszcze bardziej drastycznej, gdyż, jak wiadomo, olbrzymie tereny metropolii angielskiej pokrywają obrzydliwe domki, wzniesione na gruntach nielicznych magnatów, które mimo wysokiego czynszu nie odpowiadają najprymitywniejszym wymaganiom. W „Domach wdowców" — ładny grosz biblijnej wdowy, umieszczony na wysoki procent! — wystąpił przeciw temu złu społecznemu Londynu, piętnując wyzyskiwaczy w osobie Sartoriusa, jego córki Blanki, i narzeczonego tejże, Trencha.

„Widower's Houses" ukazały się w roku 1892. W dwa lata później fabianista wsadził swój kij w jeszcze gorsze trzęsawisko. Tym razem zaatakował instytucję domów schadzkowych, utrzymywanych i finansowanych nawet przez członków rodzin arystokratycznych. W „Mrs. Warren's Proffession" sir George Crofts, ciągnący przeszło trzydzieści procent od kapitału włożonego w zakład prowadzony przez podstawioną osobę, został napiętnowany przez Shawa o wiele silniej niż sama inicjatorka i kierowniczka gniazdka dziewcząt lekkich obyczajów. Tragiczny konflikt młodej Vivian Warren, która dowiedziawszy się, czym się matka zajmuje, odrzuca odtąd jej pomoc finansową, reprezentuje reakcję części społeczeństwa przeciw bezwzględnemu, amoralnemu przerostowi kapitalizmu.

Po tych piętnujących społeczeństwo sztukach, przyjmowanych z oburzeniem i spotykających się z wrogą cenzurą, Shaw zmienił w latach następnych tematy i sposób ich ujmowania. Sięgnął po inne bożyszcza opinii publicznej i ściągnął je z piedestału. Do roku 1898, w sztukach pełnych tryskającego dowcipu, wspaniałych dialogów i paradoksów, wyszydzał bohaterów otoczonych aureolą sławy wojennej („Arms and the Man"), wodzów-bohaterów w rodzaju Napoleona („The Man of Destiny"), romantycznie pojętą miłość, usymbolizowaną w poecie Marchbanks („Candida") i zanik poczucia u patres familias („You Never Can Tell") Na próżno koła wojskowe zżymały się, gdy Shaw odzierał z uroku wojnę i jej rzekome bohaterstwo, ukazane w karykaturalnej, bułgarskiej grotesce, w osobach czekoladowego rycerza, Szwajcara, Bluntschlego i romantycznego majora Saranoffa, któremu się udało wygrać potyczkę wbrew wszelkim założeniom taktycznym. Na próżno książę Walii, późniejszy Edward VII, zżymał się wyraźnie podczas przedstawienia, które ośmieszało rzemiosło wojenne. Publiczności bardzo przypadło do gustu plastyczne, pełne ironii przedstawienie nonsensu wojny. Pomysł wprowadzenia na scenę zwycięzcy spod Lodi w pantoflach i ukazania go od błazeńskiej, histrionicznej strony znalazł jeszcze większe uznanie. Autor szedł od tryumfu do tryumfu. W przeciągu następnych trzech lat Shaw wystawił sztuki dla purytanów, które ugruntowały jego pozycję jako najwybitniejszego spośród współczesnych pisarzy dramatycznych. Przyczyniły się do tego „The Devil's Disciple", „Captain Brassbound's Conversion", a szczególnie „Caesar and Cleopatra" i „Man and Superman".

Shaw występuje tutaj już nie jako fabianizujący socjolog lecz jako myśliciel-metafizyk. Deifikacja siły życia, prymat woli, która dąży do udoskonalenia rasy ludzkiej wedle koncepcyj eugeniki — oto idee, których pokrewieństwo z Schopenhauerem, Nietzschem i Bergsonem wyznaje sam autor. Biologia, statystyka i utopia składają się na tę swoistą filozofię, która najsilniejszy wyraz znalazła w sztuce „Man and Superman". Bohater jej, John Tanner — to nowa, uniwersalna inkarnacja Don Juana Mozarta. Traktat Tannera zawiera teorię płci, wyrażoną przy akompaniamencie muzyki mozartowskiej w piekle, pośród hiszpańskiej Sierry Nevady. Schopenhauer-Shaw, ironiczny mizogynik, przeczuwa, że w pościgu Anny Shiterfield za Tannerem wyraża się wola kosmiczna, poszukująca nowego, doskonalszego niż człowiek, wcielenia. Anna wołająca: Ojca, ojca dla nadczłowieka! — jest zdaniem Shawa ważniejsza dla rozwoju gatunku ludzkiego niż Tanner, mężczyzna, twórca form cywilizacji na ziemi.

Chociaż z licznych wypowiedzi Shawa wynika jasno, że posłannictwo swoje traktuje zawsze poważnie, nie przywdziewa nigdy uroczystej szaty proroka. Głos wołającego na puszczy nie milknie w nim jednak nigdy. Słyszymy go w „Majorze Barbarze". Fabrykant broni, Andrzej Undershaft, woli rzeszom swoich robotników stwarzać możliwości pracy i znośnej egzystencji niż pchać ich przez nędzę w ramiona Armii Zbawienia, zasilanej z nadwyżek jego zysków. Dźwięczy on w apostrofach genialnego, choć amoralnego, artysty-malarza Duvedata w „Lekarzu na rozdrożu", a jeszcze wyraźniej w „Blanku Posnecie", niesamowitej historii, która dzieje się na Dzikim Zachodzie w Ameryce, kiedy Blanko, skazany na śmierć za jedyny dobry uczynek, jaki popełnił, ratując konające dziecko biednej kobiety, ściera się w bluźnierczych wywodach z okrutną siłą Boga-Losu czyhającego na jego zgubę. „Androkles i lew" (1913) z bohaterką typu pierwszych męczenników, Lavinią, ginącą za coś, czego bliżej określić nie może, lecz w co wierzy, wskazuje na to, że pisarz coraz więcej wagi przykłada do umoralniającej roli chrześcijaństwa.

Metafizyczna teologia Shawa wystąpiła w pełni dopiero po wojnie 1914—18 r. w dziele „Back to Methuselah" (1921).

W pięciu wielkich obrazach oglądamy wizję wyzwolenia się z więzów doczesności, dynamicznego trwania w intensywnych aktach myśli. U kolebki tych poetyckich intuicyj stał William Blake i transcendentaliści. Te wymyślne radości intelektualne wydają się ambarasujące zwykłemu zjadaczowi chleba. „Wirować wiecznie w jakichś atomowych wstrząsach i procesach woli — nie!" — woła trzeźwy krytyk „Timesa" w dziewięćdziesięciolecie urodzin pisarza. Natomiast matematyk Archibald Henderson, pochodzący z północnej Karoliny w Ameryce, twierdzi z całą gotowością, że taki prospekt szczęścia zupełnie serio go nęci.

Jeśli to kosmiczne panopticum wywołało zastrzeżenia ludzi bez wyobraźni, to „Święta Joanna" (1923), ukazana po raz pierwszy w sposób godny swej wielkości na scenach wszystkich części świata, wzbudziła jedynie zachwyt.

Owocem czterech następnych lat był „An Intelligent Women's Guide to Socialism". Po roku 1930, już jako siedemdziesięciopięcioletni człowiek, Shaw pozwolił sobie na dłuższy odpoczynek. Z lordem i lady Astor wybrał się do Rosji, której poczynania od samego początku śledził z zainteresowaniem, zdając sobie sprawę z trudności związanych ze zmianą ustroju. Następna podróż zawiodła go do Afryki Południowej, Indii, Chin, Australii, Nowej Zelandii i, aby zakończyć tournée dokoła globu — również do Ameryki. Przewodniczką podróży była żona, Mrs. Caroline Payne-Townshend, namiętny globetrotter. Kraje, miasta, spotykane osoby nie budziły ciekawości pisarza. Wszystko jest wszędzie do siebie podobne, opowiadał indagowany. Nawet na statku, nawet w najbardziej egzotycznych miejscach nie przestawał się poruszać w swoim wyimaginowanym kręgu myśli. Z Południowej Afryki przywiózł „The Adventures of the Black Girl in Her Search vor God", owoc całomiesięcznego pobytu w Knysna na wschód od Capetown Zażywając codziennie chłodnej kąpieli i pielęgnując chorą żonę, Shaw pisze proste, przejmujące, dziwne rozważania i wkłada je w usta Murzynki. W tej przymusowej pustelni, która jest jednym z piękniejszych miejsc kuracyjnych Afryki Południowej, poddawał rewizji wierzenia różnych grup, starając się rozróżnić, co jest w nich prawdą, a co fikcją.

„The Apple Cart", grane jako „Wielki kram" w Warszawie w 1939, powtórzono tegoż roku w Malvern pod Birmingham, gdzie nawet olbrzymie, cztery dni trwające, przedstawienie, „Back to Methuselah" zrealizowano z powodzeniem. Autor, doświadczony reżyser, uczeń wybitnych praktyków i teoretyków sceny, brał żywy udział w przygotowywaniu tych widowisk.

Do wojny 1939 r. trwały festivale w Malvern. Do końca też pojawiały się nowe, co prawda słabsze, utwory. W znanym u nas dramacie „Zbyt dobre, aby było prawdziwe" (1932) sportretował Shaw w szeregowcu Meeku głośnego pułkownika Lawrence'a, znanego z wyczynów w świecie arabskim podczas pierwszej wojny światowej. Również w Malvern wystawiono premiery takich drobiazgów jak „Six of Calais" (1934), „The Simpleton of the Unexpected Isles" (1935), znany u nas jako „Matołek z Wysp Nieoczekiwanych", „Genewa" (1938) i ostatnia, podobno wyjątkowo dobra, znowu historyczna sztuka „In Good King Charles's Golden Days" (1939)".

Przyjaciele angielscy prorokują brodaczowi z Ayot St Lawrence jeszcze dwadzieścia pięć lat życia i miejsce w dziejach dramatu czasów nowożytnych tuż po Szekspirze. W sztuce „Za dobrych czasów króla Karola" wprowadził Shaw prawdopodobnie na scenę Johna Drydena, autora 30 błyskotliwych, niezmiernie przez współczesnych sławionych sztuk. Kto dziś Drydena zaliczy do wielkich dramaturgów? Czy Shawowi grozi takie zapomnienie? Na pewno nie. Osiem — dziesięć arcydzieł pozostanie po nim na zawsze.

Stanisław Helsztyński

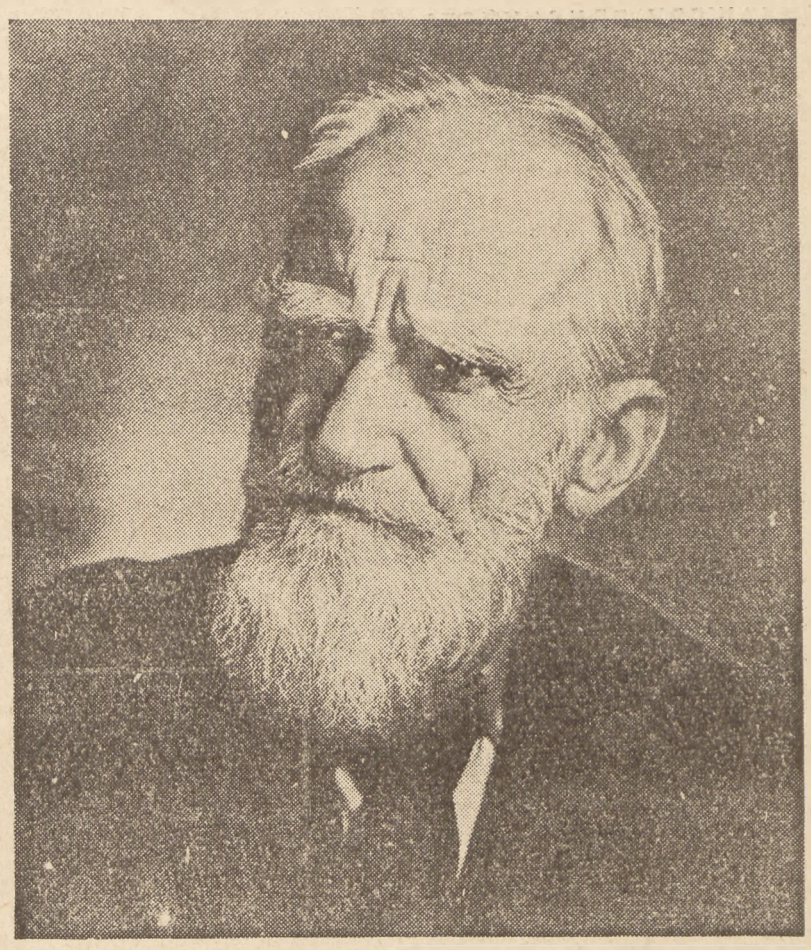

G. B. S.

JÓZEF MIŁOBĘDZKI

Epitaphium na śmierć H. L.

Twój protest, czyn twój tragiczny, bez echa minął w świecie,
Z śmierci twej tylko zostały w pismach londyńskich wzmianki
Pod artykułem o tym, jak to w warszawskim ghetcie
Przeciw twym braciom w powstaniu szły działa niemieckie i tanki.

W strasznych obozach kaźni zabijał człowiek spodlony
Twych braci szkiełkiem mędrca, gazem, biologią, chemią...
Twój krzyk nieusłyszany, twój gest niedostrzeżony
Pod pustym rozwiały się niebem, zniknęły z tobą pod ziemią.

Cóż po twym narodzie zostanie? Nie pamięć twojego gestu,
Ni wiersz ten, rzucony tobie, jak ziemi polskiej garstka —
Ach, przetrwa geniusz, co ludzkie sumienia od wieków dwudziestu
Wstrząsał, bo wydał Chrystusa, i wstrząsa, bo wydał Marxa.

(1943 r.)

Literatura 20-lecia kształtowała się pod wpływem rosnącej wagi spraw społecznych i pod wpływem najnowszych odkryć psychoanalizy. Ten pierwszy wpływ spotęgował w niej od wieków zresztą naszej literaturze właściwy — przerost raczej niż niedorost zagadnień społecznych."

Tymi słowy rozpoczyna Maria Dąbrowska ocenę literatury dwudziestolecia w wielkiej ankiecie miesięcznika literackiego

TWÓRCZOŚĆ

jaką przynosi grudniowy zeszyt tego pisma.

Cena 70 zł. Wszędzie do nabycia.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

Podróż po nowej Polsce

WRÓCILI, ABY ODEJŚĆ*)

Są inni, którzy także nie wrócą.

Z natarczywością, z naleganiem przypominają mi tu nazwiska, imiona, nazwiska. „Przecie Wojtka Stolarów pan redaktor zna... Tych dwóch Szmitów... Kowalewski Jan... młodego Kruka... Wicioręˮ. Nazwiska wirują w pamięci, starają się uczepić jakiejś twarzy. „Aha, to ten młody, taki blondyn?ˮ — „Jaki on tam młody? Stary, łysy!ˮ Nie, nie trafiam. Lub trafiam tak na oślep, na niepewne. „Czy to taki w butach palonych, co zawsze przed kościołem? Dorodny?ˮ Śmiech. „O, tak, na pewno tenˮ. Ja zaś nie wiem naprawdę, czy na pewno. Nawet myślę, że wcale nie na pewno. Tylko znowu mi się nasuwa taki obraz, letnią porą, w niedzielne przedpołudnie. Dzwony się rozhustały i biją powietrze; jest jaśniej w świecie od zbóż, które dojrzewają pod sierp, i ludzie idą. Starsi z książkami w ręku, ochędożni, do kościoła, a przed kościołem wystaje grupa. Może ich jest dwudziestu, może i więcej, wiejskich chłopaków, smukłych, jasnych, mocnych: zawsze przypominali mi jakiś spęd młodych źrebców. Dorodny spęd. Które z nazwisk wymienianych doczepi się do nich? Ludzie sypią nazwiskami i czasem dodają, co się to z nim stało, to znaczy, kiedy nie wrócił, skąd go wzięli, skąd pisał jeszcze, kto go i gdzie zoczył ostatni, kiedy słuch po nim zaginął, kiedy przyszła wieść. Czasem padnie Auschwitz czy Dachau, najczęściej bezosobowo „lagierˮ, jeszcze częściej „Niemcyˮ. i tylko wtedy, gdy chodzi o śmierć, która przyszła gdzieś w promieniu najbliższych kilkunastu mil, to wszystko się jakoś bardziej uosabia, ukonkretnia. Była taka zbiorowa egzekucja pod krzyżem, na rozstaju u wejścia Wsi i padło ich wtedy siedemnastu. Potem była inna, w Miechowie, podczas wielkiego targu, i wtedy poszło ze Wsi siedmiu. Potem w obławach, w Lesie, padło sześciu tutejszych. Nie wrócą.

Tylko dla mnie, obcego, twarze tych, co nie wrócą, nie materializują się tak dokładnie jak tamte dwie, Jana i Jana. Dwóch Janów, którzy, z różnych przyczyn, tak samo nie wrócą z Anglii. Ale dla tych we wsi, te inne nazwiska wywołane tak samo obrastają w ciało, w żywy uśmiech, w czyjeś ruchy, wygląd, ubranie, przyoblekają się w sprawy tutejszym znane i bliskie. Tak jak dla mnie jeden z Janów skojarzy się na zawsze z tym powolnym przemarszem koło oficera w brytyjskim mundurze RAFu młodych ludzi w bufiastych, niezgrabnych kombinezonach i z wnętrzem takiego angielskiego domu, na południe od Londynu, w Kent, gdzie paliły się ognie na kominku, gin w grubych szklach pachniał oleisto jałowcem, i brzęczała w powietrzu obca mowa.

Tam, gdzie nie przemawia obraz, mówią cyfry. Wgrzebałem się w nie, jak mogłem. Oto ich wymowa. W 1939 Wieś liczyła 87 chat, numerów, jak mówią o tym w gminie, jeszcze inaczej, gospodarstw. Jej ludność — 437 głów. W tych 437 ogółem około 60 procent stanowili ludzie w wieku średnim, jeśli za wiek średni uważamy lata od 18 do 55 roku życia. Reszta przypadała niemal po równi na dzieci i na starców, z pewną przewagą dzieci. Statystyka jest jednak w Polsce bardzo niestałą rzeczą i zawsze podziwiam tych panów u władzy, jak dyrektor Czesław Bobrowski przed wojną i minister Czesław Bobrowski teraz, którzy cytują wszelkie cyfry niezwykle szczegółowo i precyzyjnie, w niczym niezachwianym przekonaniu, że są one aptekarsko dokładne. Ja z jednej tylko wsi polskiej nigdy bym się tego nie podjął! Nadwyżka kobiet była przed wojną dosyć normalna — w Europie jest zawsze pewna, naturalna nadwyżka kobiet w stosunku do mężczyzn. Naturalna z tego względu, że wiek, w którym kobiety są, że tak powiemy, kobietami, jest ciaśniejszy, bardziej ograniczony niż wiek mężczyzn. Było osiem do dziesięciu na sto. Cyfry te podczas wojny uległy zmianie. Wieś liczy dziś, owszem, 92 chaty — i to mimo pewnych zniszczeń dokonanych przez wojnę — ale tylko 90 gospodarstw: przyrost znikomy. Gdyby nie było wojny, byłby zapewne większy. Ludności liczy sobie Wieś 445: jest to więc, właściwie, spadek. Bez wojny przyrost ten byłby na pewno znacznie większy. A przecież ludzie nie tylko umierali, ale także się rodzili. Wygląd wsi w dzień niedzielny mówi o tym najlepiej. Potwierdzają to także cyfry. Z blisko 60 procent liczba dorosłych — tych między 18 a 55 — spadła do nieco ponad 40 procent: ilość dzieci i starców wzrosła więc bardzo znacznie. To znaczy wzrosła znacznie ilość nieproduktywnych czy mało produktywnych jednostek. Być może, że w związku z tym właśnie jest tak niski, mimo reformy rolnej, wzrost liczby gospodarstw. Wreszcie ostatnia zmiana, bodaj najtrudniejsza do dokładnego wymierzenia, ale najboleśniej widoczna. Zmniejszyła się poważnie ilość mężczyzn. Nadwyżka kobiet stała się problemem. Problemem, który zakłóca spokój wsi, oddziaływa na stałość jej ognisk małżeńskich, dostarcza tematu do plotek kumom a utyskiwań księdzu na kazaniu. Jest to problem. Mówiłem o takich, którzy nie wrócą. Są tacy, co powrócili, aby odejść.

Przed wojną, w takie niedzielne przedpołudnie, Wieś wyglądała jak rojowisko. Jak taki cebrzyk, przelewający się tłusto mlekiem ponad brzegi. Był to istny spęd ludzki, spęd młodego ludzkiego zwierza, jakaś stadnina, za wielka na te opłotki, dusząca się w nich swym nadmiarem. Nauczyciel ze szkoły mawiał wtedy o reformie rolnej i patrzał w kierunku ziem dworskich: architekt, który dobudowywał tu plebanię, mówił, od siebie, nie wiem dlaczego, o zamorskich koloniach. W miejscowym „Strzelcuˮ był kiedyś, pamiętam, odczyt o Prusach Wschodnich: wisiała potem mapa ziem polskich, na której gruba pręga czerwonego ołówka poprzekreślała granice i włączyła obszar Prus do Polski. Dziedzic mówił jeszcze o COPie i przemyśle, a starosta, na obiedzie dla biskupa, mówił naraz o tym wszystkim, to jest i o reformie rolnej, i o Prusach Wschodnich, i o Madagaskarze, i o COPie, i o przemyśle, o Polsce A, B, C, o planowaniu, dysproporcjach, i o bardzo wielu rzeczach, o których w Polsce wprawdzie tylko mówiono, ale za to mówiono bardzo dużo. Mówiono, a Wieś trwała, pęczniejąc tylko ludzkim mięsem. Aż przyszła wojna. Pierwsza seria ludzi poszła gdzieś do najbliższego PKU w same żniwa i w większości już więcej nie wróciła: niewola. Potem przyszły kolejne pobory. Przez całą zimę 1939 na 1940 był spokój, coś tam tylko mówiono o pracy w Niemczech, o zachętach i premiach. Ale w 1940 poszli pierwsi, potem pobrano drugich, trzecich... Odtąd, różnymi drogami, szły odpływy dość regularne. Wieś, która kiedyś słyszała o Prusach Wschodnich, teraz wiedziała o Ełku, o Allensteinie i o różnych, przeróżnych miejscach w lasach wielkich, nad jeziorami i morzem. Wieś, która miała, z innej epoki, tradycje wędrówek „na Saksyˮ, teraz miała znowu swoich rozsianych po jakichś wyolbrzymionych, rozdętych na całe Niemcy, „saksach", skąd jednakowoż nie wracało się na dzień Niepokalanego Poczęcia. Wieś rozbiegła się. Świat, którego najdalszym skrajem był Skalbmierz, Miechów, Końskie, Częstochowa, na którego najdalszym horyzoncie majaczył olbrzymi Kraków, rozrósł się naraz przez tę wojnę. Mówi się tu o Friedrichsruhe, o Kolonii, o Regensburgu, o Nassau, o Ketz i o Hamm. Mówi się o Krupp-Werke i Goering-Werke. Byli tacy, co byli aż w Tunisie, w Afryce, dla budowy jakichś umocnień: jeden był na Sycylii. Sycylia? Zaraz, zaraz: ta dachówka sycylijska. Syn gospodarzy, u których mieszkam, pracował pod Mannheimem (Mannheim, Mannheim. Skąd znam ów Mannheim?). Ależ tak, oczywiście. To Jan nie wrócił z bojowego lotu na Mannheim. (I naraz bierze mnie lęk: na kogo sypały się owej nocy, i tylu innych nocy, polskie bomby rzucane na Mannheim?).

Ci, co powrócili, aby odejść, to właśnie tacy jak ten z Mannheimu. Niemcy ochraniali gospodarkę. Chodziło im przede wszystkim o to, aby wieś polska produkowała więcej, więcej i więcej, tyle ile produkuje wieś na całym świecie zachodnim. Oczywiście chodziło im tylko o to, aby to, co wieś wyprodukuje, Niemcy zabrały: była to gospodarka pana, który dba o swe bydło po to, by dawało mu więcej mleka, mięsa, nawozu, wysiłku, lepszą skórę wreszcie — któremu chodzi tylko o to: jedynie o to. Ale była to gospodarka pana, który o to dba. Produkcja rolna wsi podniosła się też istotnie bardzo wydatnie i to w bardzo krótkim okresie czasu, w dodatku w okresie wojennym. Te sprawy w Polsce przedwojennej leżały, jak wiadomo, imponującym odłogiem. Toczyły się dyskusje nad tym, czy lepszym doktrynalnie typem gospodarstwa jest gospodarstwo 5 czy aż 7 hektarowe, ale to, czy ten hektar daje 4, 8, 12 czy 16 metrów lub korców, nie interesowało, po prawdzie, nikogo z dyktatorów naszej polityki agrarnej. Aż dziw dlaczego? Przecież wydawać by się mogło, że nie jest obojętne, czy produkcja rolna kraju, przecież rolniczego, wzrośnie o jedną czwartą tego, co produkuje dotąd. Przecież niskość naszej produkcji rolnej była, w zestawieniu z sąsiadem niemieckim czy czeskim czy węgierskim, tak zastraszająca i haniebna, że minister rolnictwa, który temu nie zapobiegał, był jakimś szkodliwym dziwotworem polityki. Mniejsza o to.

Po 1939 produkcja rolna skoczyła w górę. Skoczyła mimo tego że z samego Generalnego Gubernatorstwa wydrenowano dobrze ponad milion młodych, zdrowych mężczyzn do robót w Rzeszy. Może skoczyła także i dlatego. Dla tych bowiem młodych mężczyzn na wsi nie było pracy, potrzeba zaś było dalej, marnego choćby, chleba. Reich wchłonął więcej Polaków, niż mówią o tym nasze — zawsze nieścisłe — cyfry oficjalne. Z tej jednej wsi na robotach w Rzeszy, w różnych okresach, przebywało ponad 50 osób. Bardzo wysoki procent. Nie były to lagry, lecz roboty. Znaczna ich część wróciła. Teraz odchodzi, albo stara się odejść.

Dlaczego nie zostają? Działa tu wiele przyczyn. Przede wszystkim ten brat, lub ci bracia, którzy na ojcowskiej gospodarce zostali, już się do roli przyzwyczaili, już uważają ją za własną. Tamtych, ze świata, za obcych. Ale jest jeszcze inny łańcuch przyczyn. Oto przyzwyczaili się do innego życia. Proszę źle nie rozumieć. Nie znaczy to wcale, by w Niemczech powodziło im się lepiej niż w Polsce. Owszem. Znam, co prawda nie z tej wsi, wypadki, gdy nasi trafiali na „ludzkiego bauera", który, wbrew wyraźnym nakazom gestapo, i do stołu swego brał, i tak samo żywił, i był „ludzki", gdzie mieli pracy dużo, to prawda, znacznie, znacznie więcej niż „za Polski", ale też i jedzenie lepsze, mieszkanie godne człowieka, nawet lepszą odzież. Przynajmniej czasem. Nie o to jednak chodzi. Jeśli nie żyli lepiej, to nawet wtedy widzieli, jak żyją lepiej inni. Niemiecki chłop, ich pan, żył lepiej. Czasem żyjąc na gorszej od naszej, często na gorszej ziemi, żył lepiej. O wiele lepiej. Nieskończenie lepiej. Jego dom był domem, jego jedzenie jedzeniem, jego ubranie odzieżą. Jego narzędzia gospodarcze miały się tak do używanych przez chłopa w Polsce jak drewniana socha do pługa wieloskibowca, jak żniwiarka do cepa — tylko odwrotnie. Na odwrót. Bydło, konie, chlewnia, obora, ogród, uprawa pól, wszystko to było inne, nieskończenie lepsze. Oni to widzieli co dzień. Oni z tym współpracowali. Ponad milion Polaków w sile wieku poznawało w ten sposób zupełnie odmienne, od znanych im, warunki życia. Potem, gdy przyszło Wyzwolenie, przez parę co najmniej tygodni pożyli właśnie w taki sposób. Zakwaterowywali się u swoich czy nie swoich „bauerówˮ, spali w ich pierzynach, żyli ich życiem. Mieli się dobrze. Potem wrócili. Ci, co wracają z Anglii, ciągną za sobą jedną smugę wspomnień. Za tymi, nieskończenie liczniejszymi, którzy wracają z Niemiec, snuje się smuga inna. Ta niemiecka smuga nie jest w całości utkana z wrażeń oświęcimskiego typu. Są w niej nie tylko największe cierpienia, ale i przemyślenia niespodziewane. Po tym będzie im tutaj trudno wrócić. Jeszcze trudniej pozostać. Odchodzą.

Znowu w wieczorne rozmowy ciągnie się ta statystyka. Jan jest „na drogachˮ. Stach we Wrocławiu, Józef w Krośnie nad Odrą. Nie pisze. Pisze. Posłali. Przyjadą. Obiecali. Z rąk do rąk wędruje fotografia z obejścia w powiecie jeleniogórskim. Wieś nie ma wielkiego przekonania. „Czy to aby panie będzie nasze?ˮ. Ale ludzie pociągnęli. Co mieli robić? Obliczam. Siedemnastu ich jest na tym Odzyskanym Zachodzie. W tym kilku, którzy już tam byli — za Niemca. Albowiem „saksyˮ wojenne były nie zawsze tak bardzo egzotyczne. Czasem był to po prostu Śląsk. Śląsk był ważnym niemieckim krajem. Przemysłowo. Rolniczo. Trzeba było rąk roboczych i stąd szli tam Polacy, Polacy stąd, natrafiający gdzieś potem na jakoweś ślady polszczyzny, czasem w starych kościołach, na nagrobkach, na wsi jakowejś pod Brzegiem. Nikt jakoś tego jeszcze nie raczył zauważyć, że ponowne polszczenie Śląska zaczęło się nie w 1945, ale właśnie w owym roku klęskowym 1939. Wtedy pierwsze transporty Polaków poszły do tych ziem. Po nich poszły inne. Te w 1945 i 1946 i 1947 szły już może inaczej. Ale też z nimi rosła ilość Polaków na tych ziemiach. W pismach czyta się wiele o zasiedleniu tych ziem, ale tego dopływu się nie uwzględnia. A przecież był istotny. Przyszedł w warunkach możliwie najcięższych, i jeśli tam dotrwał, to znaczy, że przebył pewną, że tak powiemy, próbę.

Trudno było na wsi oswoić się z myślą, że jest taki Wrocław, i takie Opole, i taki Brzeg, i Zielona Góra, i inne Krosno, i co tam jeszcze. Ale jakoś to się tak zaczęło dziać. Tak się stawało. Przyjeżdżają swojaki w odwiedziny stamtąd. Mówi się o „Polsce starejˮ. Polska stara — to tu. „Nowaˮ — to chyba tam. Podobno się tam tęskni. Podobno jest tam obco. Ale tu już się nie wraca. Tak, jak nie wracają emigranci zza morza, zza oceanu, z Parany i z Chicago. Tak, jak nigdy nie wracają, naprawdę nie wracają, emigranci.

I życie idzie już — bez nich. Czasem ciężko, to prawda.

Ale idzie.

I tak już jest w tej Wsi.

Ksawery Pruszyński

*) Por. „Gruntowanie obrazuˮ w numerze 108—109 i „Którzy odeszliˮ w numerze 110 „Odrodzenia".

Pamiętniki von Giseviusa

W Szwajcarii ukazały się pamiętniki von Giseviusa: „Bis zum bitteren Endeˮ („Do gorzkiego końcaˮ). Autor, w czasie ostatniej wojny wicekonsul III Rzeszy w Zurychu, należał do tej samej mieszczańskiej grupy oporu przeciw Hitlerowi, co von Hassel, znany czytelnikom z omawianych niedawno pośmiertnych pamiętników. W tomie pierwszym Gisevius omawia szczegółowo historię podpalenia Reichstagu, sprawę rzekomego podpalacza van der Lübbe oraz aferę generała Fritscha, jednego z najwyższych niemieckich dostojników wojskowych, usuniętego przy pomocy prowokacji przez Goeringa i Himmlera. Przedstawia dalej, w jaki sposób grupka ludzi z Schachtem, ze straconym w r. 1944, byłym burmistrzem Lipska, Goerdelerem, z Hasslem i z autorem pamiętników na czele (Gisevius wciąż wysuwa na pierwszy plan swoją osobę) — starała się wpłynąć na generalicję niemiecką, by zrzuciła hitlerowskie jarzmo i dokonała przewrotu wojskowego.

W tomie drugim autor wysuwa taką tezę: prawdą jest, że generalicja niemiecka składała się z ludzi słabych, chwiejnych, ulegających czarowi mundurów, pokusom zaszczytów i wysokich pensyj, ale generalicja ta dawno przed wybuchem wojny dokonałaby zamachu stanu, gdyby nie Monachium i monachijczycy, gdyby nie Chamberlain i Daladier. Teza ta, której oczywiście nie można sprawdzić, jest świadomym fałszem, mającym służyć do usprawiedliwienia faktu, że w przeciągu długich lat nie napotkał hitleryzm w społeczeństwie niemieckim — poza sporadycznymi spiskami, czy zamachami — prawdziwego ruchu oporu.

Na setkach stronic swojej obszernej książki opisuje Gisevius, jak jego grupa starała się za wszelką cenę wpłynąć na generalicję niemiecką, aby ta wywołała powstanie antyhitlerowskie, jak ta generalicja, z małymi wyjątkami, do których należeli generałowie Beck, Oster i Olbricht, ociągała się i ostatecznie zdradziła w dniu zamachu 20 lipca 1944 r. — Kiedy się to czyta, trudno się oprzeć wrażeniu, że ludzie piszący pamiętniki na temat „niemieckiego ruchu oporu" lub konstruujący je na podstawie notatek, sporządzonych przez tych, którzy padli pod hitlerowskim toporem, mają jeden cel na oku: przerzucić odpowiedzialność na innych, stworzyć sugestię, że w okresie hitleryzmu było w III Rzeszy wielu „dobrych" Niemców, którzy gotowi byli do największych ofiar.

Niezależnie od wątpliwości, czy w „niemieckim ruchu oporu" wszystko wyglądało tak, jak opisuje Gisevius, trzeba na zakończenie stwierdzić, że pod jednym względem pamiętnikarz jest szczery. Pod względem światopoglądu. Charakteryzuje go najlepiej twierdzenie, że nie jest prawdą, jakoby Hitlera i hitleryzm popierał kiedykolwiek wielki niemiecki kapitał. Hitler — to zdaniem Giseviusa (który zresztą pod tym względem nie jest ani odosobniony, ani oryginalny) — rewolucyjny nihilista. Kapitalizm niemiecki, związany z klerykalizmem, solidny, antyrewolucyjny — nie miał z nim jakoby nic wspólnego.

Jacek Frühling

JAN DOBRACZYŃSKI

SZATA GODOWA

POWIEŚĆ

Stron 224 Zł. 320.—

KSIĘGARNIA
ZDZISŁAW GUSTOWSKI
POZNAŃ
Wielka 10 Św. Marcin 34
101

STEFAN PAPÉE

Sieroty w pałacu Potockich

Dyrektor Państwowego Zakładu Wychowawczo-Naukowego im. Tadeusza Kościuszki, dr Stanisław Jedlewski, namawiał mnie usilnie, aby przyjechać na jedną z niedziel do Krzeszowic.

— Zobaczy pan, co się stało z pałacu Potockich, posłucha popisu naszych wychowanków, porozmawia z sierotami z całej Polski, bo dla nich Zakład zorganizowano.

Sieroty. To słowo podziałało na mnie najsilniej. W czasie wojny naradzałem się z kolegami nauczycielami niejednokrotnie nad tym, co stanie się z dziećmi rodziców zabitych, zaginionych czy rozwiedzionych, kto się zajmie tym najcenniejszym i narażonym na największe niebezpieczeństwo skarbem narodu: bezdomnym dzieckiem.

Z broszury J. Wojtyniaka i H. Radlińskiej pt. „Sieroctwo", wydanej jako pierwszy tomik Biblioteki Służby Społecznej, dowiedziałem się niedawno, jak przerażający jest po wojnie zasięg sieroctwa w Polsce.

Wskutek wojny sprawa zasięgu sieroctwa i zapobieżenia jego następstwom urosła — zdaniem autorów tej broszury — do rozmiarów jednego z najważniejszych zagadnień społecznych, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę znaczenie młodego pokolenia dla wyniszczonego przez wojnę i okupację kraju. Liczba urodzin w okresie wojny znacznie spadła, warunki wojenne zwiększyły śmiertelność zarówno starszych jak i młodszych roczników. Wskutek ogromnych wyrw w starszych rocznikach, jak i spadku liczebności najmłodszych, zagadnienie człowieka, nawet ujęte zupełnie statystycznie, wysuwa się na czołowe miejsce wśród zagadnień powojennej Polski.

Dzieci nie posiadające w danej chwili rodziców nazywa J. Wojtyniak osamotnionymi. Osamotnienie może być wywołane sieroctwem, bądź też opuszczeniem, tj. rozłączeniem się dzieci i rodziców. Rozróżnia się dalej osamotnienie, tj. sieroctwo lub opuszczenie, całkowite, gdy brak obojga rodziców, półsieroctwo, lub półopuszczenie, gdy brak tylko ojca lub tylko matki. Według badań, przeprowadzonych przez Ministerstwo Oświaty w czerwcu 1945 r., na ogólną cyfrę 6 939 795 było dzieci osamotnionych 1 544 132, czyli 22,2 % ogółu dzieci. W tej liczbie 111 460 zupełnych sierot, 970 724 półsierot, 36 248 całkowicie opuszczonych, 425 700 opuszczonych częściowo. W poszczególnych rocznikach wieku, od niemowlęctwa do 18 roku życia, odsetek sierot i dzieci opuszczonych przekroczył więc piątą część ogółu dzieci.

Polski Instytut Służby Społecznej, badając sieroctwo jako zjawisko demograficzne i jako klęskę społeczną — równocześnie mobilizuje siły do zorganizowania form pomocy mającej złagodzić osamotnienie dziecka. Za największe nieszczęście osamotnionego uważa zerwanie naturalnej więzi uczuciowej z rodziną, zapewniającej trwale serdeczną opiekę, niezależną od wszelkich okoliczności, nawet od postępowania dziecka.

Z dniem 1 stycznia 1946 r. Ministerstwo Oświaty przejęło od Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej opiekę nad wszystkimi dziećmi osieroconymi. Trzeba więc było zbudować im dom.

W Krzeszowicach mamy pierwszą próbę stworzenia dla osamotnionych domu rodzinnego. Zarządzenie Ministra Oświaty z dnia 2 maja 1946 r. głosi:

§ I. Otwieram Państwowy Zakład Wychowawczo-Naukowy im. T. Kościuszki w Krzeszowicach. Zakład przeznaczony jest w pierwszym rzędzie dla dzieci i młodzieży pozbawionej opieki rodzicielskiej.

§ II. Zakład obejmuje: Domy Dziecięce, Liceum Pedagogiczne ze Szkołą Ćwiczeń i Przedszkolem, Gimnazjum Ogólnokształcące oraz Gimnazjum Ogrodnicze.

§ III. Zarządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem 1 kwietnia.

Nim doszło jednak do uruchomienia Zakładu, minęło jeszcze pół roku gorączkowej pracy. Opowiada o niej energiczny dyr. Jedlewski z zapałem, jak o bajecznej przygodzie, oprowadzając mnie niezmordowanie po pałacu o stu kilkunastu salach, pokojach, izbach i zakamarkach, od piwnic aż po „Olimp", na którym mieszkają najstarsi wychowankowie Zakładu.

— Niech pan tylko pomyśli. W tym labiryncie mieszkały przed wybuchem wojny tylko dwie osoby: stara hrabina z córką. Teraz w pałacu wychowuje się i uczy blisko 300 młodocianych.

— Cóż te dwie osoby robiły z taką ilością np. wspaniałych łazienek? — pytam mile zdziwiony, oglądając przy każdej prawie sypialni łazienkę i podziwiając nowocześnie urządzoną łaźnię, w której tusz obsłużyć może równocześnie 200 osób.

— Za czasów hr. Potockich były tu tylko dwie łazienki, z tych jedna była nawet zepsuta. Przebudowali pałac dopiero w 1939 r. Niemcy, zaprowadzając nowoczesne urządzenia kanalizacyjno-wodociągowe i sanitarno-higieniczne. Z pałacu Potockich uczynili wówczas siedzibę gen. gubernatora Franka, głośny „Kressendorf", w którym przebywał i przemawiał Hitler. Potem uciekali z Krzeszowic tak szybko, że w pałacu zostało całkowite urządzenie, nawet cenne obrazy, kilimy i kryształy. Niestety dalsze wypadki wojenne sprawiły, że z pałacu i z folwarków wyszabrowano dosłownie wszystko.

Gdy w kwietniu 1946 r. przejmowałem z rąk Instytutu Zootechnicznego U. J., przejściowego gospodarza majątku Potockich, resztówkę (po rozparcelowaniu łąk i lasów), obejmującą 138 ha gospodarstwa rolnego, w tym park, ogrody, sady oraz 70 ha ziemi ornej — pałac i majątek był w stanie godnym pożałowania.

Pierwszą czynnością było oczyszczenie budynków z nieprzebranej ilości nieczystości i brudów, potem remont blacharski (naprawa przedziurawionych dachów i rynien), remont stolarski (dorobienie kilkudziesięciu brakujących futryn, kwater okiennych, drzwi, progów), remont ślusarski (sprawienie przeszło stukilkudziesięciu par klamek, zamków, kluczy, okuć okiennych, zawiasów)...

— Jak widzę, szaber był tu dokładny i zupełny.

— Tak. Gdy potrzebowano np. lampy, to brano ją razem z kontaktami, wyłącznikami, przewodami elektrycznymi. Samych szyb trzeba było sprawić 600 m².

— Jak pan dyrektor dał sobie z tym radę?

— Okazano mi pomoc. Zwróciłem się np. do burmistrza Krzeszowic p. Małodobrego, który okazał pełne zrozumienie dla spraw Zakładu. Zebrał on miejscowych rzemieślników, przemówił do nich gorąco i sprawił, że robota poszła sprawnie, szybko i po cenach umiarkowanych. Krzeszowiczanie otaczają Zakład szczerą sympatią. Dzięki temu w czerwcu panował tu już ład. Podczas wakacji mieliśmy już grupę sierot na kolonii i ogólnopolski kurs języka rosyjskiego dla nauczycieli. Nauka w Zakładzie Wychowawczo-Naukowym ruszyła 3 września.

Była wczesna godzina ranna. Młodzież wróciła właśnie ze szkolnego nabożeństwa. Oprowadzany przez dyrektora, zwiedzam najpierw dom wychowanek Zakładu, których jest 111. Zespół ten zorganizowano w 3 grupy wychowawcze, łącząc uczennice w grupie na zasadzie klasy, wieku i wspólności zainteresowań. Każda grupa zajmuje kilka sypialń. Na czele każdej grupy stoi wychowawczyni, prócz tego w każdej sypialni jest odpowiedzialna dyżurna. Poszczególne sypialnie mogą pomieścić 6 do 24 wychowanek. Tak samo zorganizowano zespół chłopców, liczący 124 wychowanków, rozmieszczony w 3 grupach i w 12 sypialniach, w przybudówce pałacu. Reszta wychowanków dochodzi z Krzeszowic i z najbliższych okolic. Wszędzie w Zakładzie panuje czystość, ład i koleżeństwo. Młodzież odpowiada na pytania grzecznie i śmiało. Widać, że swego dyrektora szanuje i lubi, czuje się też w gromadzie dobrze. Tylko o przeszłości mówi ze mną mało i niechętnie.

— Gdy żona moja, polonistka — wyjaśnia dyrektor — dała raz w klasie zadanie na temat „Moje przeżycia wojenne", przy czytaniu zadań płakali wszyscy, razem z nauczycielką, i trzeba było zaniechać poruszania wspomnień. Zbyt bolą. Z Domu Dziecka mamy sierot 71, reszta to dzieci repatriantów, dzieci Warszawy, dzieci z terenów zupełnie zniszczonych w czasie wojny. Osamotnieni, sieroty i opuszczeni.

Zwiedzamy magazyny. Są dość zasobne. Wychowanków trzeba przecież ubrać, często dosłownie od stóp do głów, dać im nie tylko pełne utrzymanie, ale i ubranie, bieliznę, pościel, książki i zeszyty. Na wiadomość, że mam zdać sprawę w „Odrodzeniu" z pobytu w Krzeszowicach, magazynierka nalega gorąco, aby wołać z tych łamów o mleko dla wychowanków. Nie może się bowiem z tym pogodzić, że dzieci piją przeważnie mleko z puszek konserwowych. Jak się okazuje, jest wprawdzie na folwarku 9 krów, ale tylko wypożyczonych przez U. J. — a 30 duńskich krów, obiecanych przez Ministerstwo Rolnictwa i Reformy Rolnej, Zakład nie może się jakoś doczekać.

Dajcie Krzeszowicom krowy! Młodzież musi mieć dużo dobrego, świeżego mleka! Dajcie krowy!

Wołam po raz trzeci, bo to czasem pomaga. Dyrektor z dumą opowiada mi, że osobistej interwencji premiera Osóbki-Morawskiego zawdzięcza zdobycie dla folwarku koniecznego traktora, bezpośredniemu atakowi na prezesa Borejszę — wydawnictwa „Czytelnika" dla szkolnej biblioteki; 4 konie duńskie wykołatano z UNRRA, w inny znów zmyślny sposób zdobyto gniazdo angielskich świń, to znów 40 kur i jednego koguta — a teraz znów trzeba się heroicznie bronić przed zamachami rozmaitych międzyministerialnych komisyj, które chciałyby zabrać ten czy ów szkolny budynek, kawał ziemi czy coś z gospodarskiej chudoby.

Majątku Zakładu broni inżynier Józef Krajewski z tym samym zapałem, z jakim o sprawy wychowawcze walczy mgr Leon Wytyczak, z jakim o pełnię magazynu upomina się p. Wanda Kornberger, czy o jakość i obfitość pięciorazowych posiłków kierowniczka smacznej kuchni p. Dobrosława Krwawicz, żona nauczyciela języka angielskiego.

„Merkury" Thorwaldsena w pałacu Potockich w Krzeszowicach

Pobyt w Krzeszowicach przekonał mnie, że dzielnemu dyr. Jedlewskiemu udało się dobrać sobie zespół wychowawców, nauczycieli i personel administracyjny. Są to wszystko ludzie w pracy zamiłowani i zawzięci. Przeważnie repatrianci, dla których Zakład jest jedynym domem rodzinnym. Wszyscy biorą tu udział w pracy wychowawczej i to nie tylko w czasie zajęć szkolnych, ale wprost przez cały dzień. Umieją też (co bardzo ważne, bo wychowankowie Zakładu przeważnie mają być w przyszłości także nauczycielami) wciągnąć samą młodzież do współpracy i współdziałania. Młodzież pomaga w zagospodarowaniu Zakładu, opiekuje się dziećmi, ma swój szeroko rozbudowany Samorząd Uczniowski, z sekcjami: estetyczną, bibliotekarską, prasową, artystyczno-imprezową, z koleżeńską Strażą Porządkową, Harcerstwem, Czerwonym Krzyżem, spółdzielnią, fryzjernią, introligatornią, stolarnią. Słowem robota wre. Młodzież jest w pracy wesoła i zdrowa. Zaglądamy do szpitalika. Tylko w jednej salce zastajemy dwóch rekonwalescentów. Inne są, na szczęście, próżne. Dr Zdzisław Nąckiewicz, gorliwie wypełniający obowiązki lekarza w Zakładzie, notuje z pasją przede wszystkim przybytek wagi u swych pacjentów, wynoszący od września nawet po kilka kilo. Pensję rządową oddaje ten wybitny lekarz, mający wielkie wzięcie w samym miasteczku, na wyposażenie apteczki Zakładu. Takich „szaleńców" tu spotykamy! Pani prof. Czerny, która oprowadza nas po kilkunastuhektarowym parku i po licznych pięknych oranżeriach, zaklina się, że takiego bogactwa i różnorodności drzew i roślin swojskich i egzotycznych nie ma chyba w całej Polsce. Jest więc i patriotyzm lokalny u wychowawców.

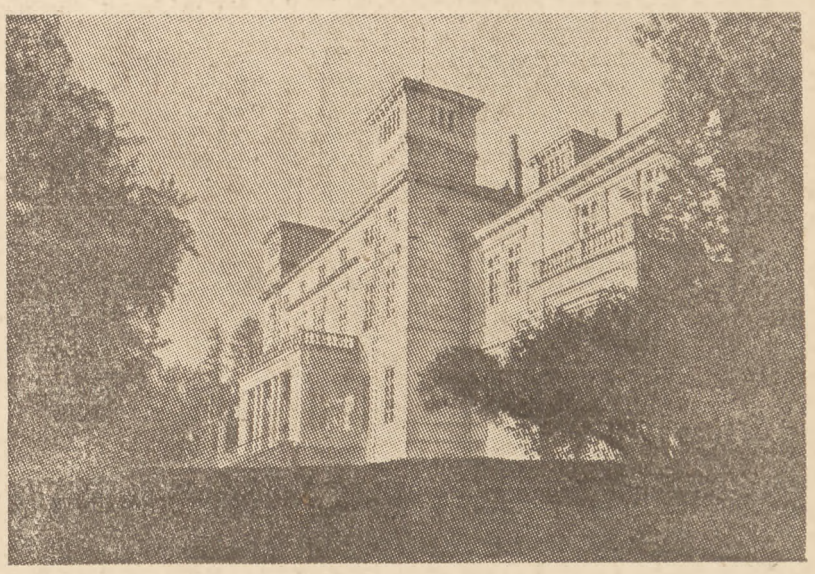

Państwowy Zakład Wychowawczo-Naukowy im. T. Kościuszki w Krzeszowicach

Jako stary wyga, który zna prawie wszystkie szkoły i internaty w kilku województwach, zaraz wyczuwam, że klimat wychowawczy tego Zakładu sprzyja rozwojowi wychowanków.

Dopytuję się więc jeszcze, jak się przedstawia w Zakładzie samo nauczanie. Dyrektor i wychowawcy nie koloryzują, co im się chwali. Z nauczaniem jest kłopot nie lada. Młodzież przychodzi do Zakładu z wielkimi brakami. Poziom wiadomości jest bardzo nierówny. Materiał nauczania olbrzymi, np. w kursie szkoły powszechnej i gimnazjum przerabia się dwie klasy w jednym roku. Są wśród wychowanków i tacy, dla których zdobycie w tych warunkach wymaganej wiedzy jest nieosiągalne. Nadają się oni raczej do szkół rzemieślniczych, których nie ma w Zakładzie. W miarę wzrostu opieki państwowej nad dziećmi opuszczonymi konieczna będzie większa selekcja wśród „podopiecznych", aby osiągnąć bardziej racjonalne gospodarowanie ludzkim materiałem. Nim to nastąpi, Zakład szczyci się słusznie tym, że udało mu się wzbudzić zamiłowanie do pracy u wszystkich, a pomyślne wyniki u większości. To już jest bardzo wiele.

Serdeczna opieka, jaką się cieszy Zakład ze strony Ministerstwa Oświaty, zwłaszcza ze strony wiceministra Haliny Kuczkowskiej i naczelnika wydziału opieki nad dzieckiem Zofii Niemcowej, bezustanna troska o Krzeszowice ofiarnej p. Bogdanowiczowej z krakowskiego kuratorium, odwiedziny w Zakładzie wojewody krakowskiego dr. Pasenkiewicza, wreszcie żywe zainteresowanie Zakładem wycieczek zagranicznych, oprowadzanych przez wizytatorkę Michałowską, upoważnia do wyrażenia nadziei, że wszystkie trudności niebawem już będą pokonane, a zainteresowanie Krzeszowicami i pomoc dla nich stale będzie wzrastać.

Dyrektor Jedlewski, któremu szkolny św. Mikołaj nie bez powodu życzył, aby więcej znalazł czasu dla trójki swych własnych dzieci, bo za wiele poświęca go młodzieży Zakładu, jest pełen planów na przyszłość. Pałac główny będzie niebawem przeznaczony tylko dla dziewcząt i dzieci, chłopcy zajmą wyłącznie stary pałac; samą szkołę przeniesie się do budynku, czasowo jeszcze zajmowanego przez prywatne gimnazjum; te zmiany pozwolą podnieść liczbę wychowanków do 500. Zakład przejmie jeszcze fabrykę mebli w Tenczynku i zorganizuje tam Państwową Szkołę Przemysłu Drzewnego dla swojej młodzieży. Udoskonali się i rozbuduje gospodarstwo rolne i ogrodnictwo, rozwinie jedwabnictwo, pszczelarstwo itd.

— Zakład musi się stać — twierdzi dyr. Jedlewski — jednym z najpiękniejszych tego typu zakładów w odrodzonej Polsce.

— Życzę powodzenia!

Słowa te powiedziałem dyrektorowi i młodzieży na zakończenie pięknego popisu, jaki dano na powitanie gości z Krzeszowic i z Krakowa.

Na popisie śpiewał chór, tańczono mazura, krakowiaka i zbójnickiego, odegrano fragmenty rzewnego „Wesela lubelskiego", był nawet egzotyczny taniec Japonek i pomysłowy korowód Murzynek z dzidami wokół rozpalonego ogniska. W popisie podobało mi się najwięcej to, że razem z młodzieżą śpiewali, grali i tańczyli nauczyciele i wychowawcy, że chłopcy i dziewczęta wyżywali się w tych artystycznych imprezach z całego serca, znajdując w nich pełne zadowolenie i że na sali panował nastrój prawdziwie rodzinny.

Wieczorem miał się jeszcze odbyć „Żywy Dziennik" z bardzo urozmaiconym programem, na którym już, niestety, zostać nie mogłem. Obiecałem jednak znów kiedyś zawitać. I uczynię to na pewno.

W dawnym pałacu Potockich, w 1939 r. prawie nikomu niepotrzebnym, tętni dziś życie rodzinne tych, którzy dłużej nie mogą się czuć osamotnieni. Dla nich rodziną musi się stać nie tylko umiłowany Zakład krzeszowicki. Muszą wiedzieć i czuć, że za bliskich i drogich uważamy ich wszyscy w całej Polsce.

Stefan Papée

W poprzednim 1 (110) numerze „Odrodzenia" z dnia 5 stycznia 1947 r.: **Ksawery Pruszyński:** Podróż po nowej Polsce (2). Którzy odeszli. — **Janusz Chmielewski:** Zabłąkane echo. **Danuta Parnas:** Książka i prasa polska w ZSRR w latach 1940—1945. — **Tadeusz Peiper:** Działania Idalii. — **Lidia Łopatyńska:** Portret mieszczucha. Flauberta „Dykcjonarz komunałów". — **Julian Przyboś:** Zapiski z Macochy. — **Jan M. Nowak:** Życie w USA. — **wn:** Kronika francuska. — **Henryk Vogler:** Poezja rzeźbiarza słowa. — **Wilhelm Mach:** Do „Szkoły krytyków". — **Konstanty Grzybowski:** Katolicyzm polityczny. — **Zygmunt Kałużyński:** „Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale" w Łodzi. — **kjw:** Szkoła krytyków. Wigilia krytyka. — **Wojciech Natanson:** Czy literatura jest popularna? — **Stefan Papée:** Nareszcie — „Historia Śląska". — **Tadeusz Konwicki:** Nowe książki. — **Wacław Kubacki:** Z teki dr. Prota Sowizdrzała. Perspektywa historyczna. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia". — **jaszcz:** Czyimi śladami? — **Jan Jabłecznik:** Dwa epigramaty. — Kronika teatralna. — **Stefania Łobaczewska:** Życie muzyczne w Krakowie. — Komunikat. — Tydzień bibliograficzny. — **kit:** Przechadzająca się wielkość i powalona materia. — 4 ilustracje. — 12 stron.

KRYSTYNA KULICZKOWSKA

Na drogach teatru ludowego

DOBRE CHĘCI A PRZYGOTOWANIE FACHOWE

Pisanie dla teatru i o teatrze jest dzisiaj w modzie, a jednak sztuki niedrukowane i niewystawiane nie należą do rzadkości, bowiem — po kilku nieudałych próbach — reżyserem i wydawcą powoduje pewna ostrożność w wyborze materiału. Ostrożność taka byłaby szczególnie wskazana w dziedzinie teatru amatorskiego, który poprzez scenę ludową i świetlicę winien spełnić poważną rolę społeczno-wychowawczą. Walka z produkcją nędznych sztuczydeł i z wystawianiem ich przez domorosłe siły bez kontroli fachowej jest jednym z najważniejszych zadań pracy oświatowej. Te cele przyświecają działalności Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury i związanego z nim Towarzystwa Teatru i Muzyki Ludowej.

W numerze 10—11 miesięcznika „Praca Oświatowa" (L. I. O. K. Warszawa) p. „Is" przytacza z broszury J. Stawowskiego pt. „Teatr w świetlicy" (wydawnictwo „Biblioteczki Teatralnej" omawianej w nr. 44 „Odrodzenia") następujące zdanie: „Teatr amatorski jest takim teatrem, w którym każdy, kto ma ochotę, może brać udział, może grać, może reżyserować, może malować dekoracje itd.", po czym zapytuje: „Czyżby tylko sama o c h o t a starczyła? Przecież nawet ochotnik straży pożarnej ćwiczy się i zaznajamia z dyscypliną. Czyżby dziedzina teatru — nawet ochotniczego — była tak łatwa do opanowania, że ani talentu, ani znajomości rzeczy nie potrzeba? Po co zatem od wielu już lat szkoli się reżyserów teatrów ochotniczych? Po co Ministerstwo Kultury i Sztuki utrzymuje Państwowe Liceum Teatralne w Grodzisku i uczelnię teatralną w Łodzi, gdzie uwzględniono również wydział teatrów ochotniczych? Po cóż wreszcie liczne kursy teatralne, organizowane przez Ministerstwo Oświaty dla nauczycielstwa?"

Trudno wymagać, by po niedawnej wojnie i wobec braku środków finansowych teatr amatorski, stanowiący w pewnych oddalonych od centrów kultury środowiskach jedyną rozrywkę, wyzbył się od razu dyletantyzmu, należy jednak wszelkimi siłami dążyć do tego, by w organizowaniu przedstawień teatralnych instytucje społeczno-oświatowe uzyskały fachowy kierunek lub przynajmniej kontakt z kimś, kto mógłby udzielić im porad w dziedzinie literackiej i technicznej; winna także istnieć odpowiednia kontrola nad wystawionymi sztukami, jeśli się chce zapobiec wręcz szkodliwemu wpływowi, jaki mogą one wywrzeć.

Już przed wojną, wśród organizatorów życia teatralnego w małych ośrodkach prowincjonalnych czujność w tej dziedzinie była wzmożona. Przykładem choćby Krościenko nad Dunajcem na Podhalu. Teatr amatorski, korzystający z sali Kółka Rolniczego, a potem ze sceny wybudowanego wysiłkiem tamtejszego społeczeństwa Domu Parafialnego, ma za sobą w ostatnim dziesięcioleciu przed wojną dość znaczne osiągnięcia dzięki temu właśnie, że zajmujące się organizacją przedstawień instytucje, jak TSL a później Związek Strzelecki, korzystały z fachowej, choć doraźnej, pomocy. Kierunek literacki nadawali poloniści, jak Wincenty Hlonszek i Fryderyk Drobot, w dziedzinie zaś technicznej dużą pomocą w pewnym okresie był sufler teatru im. Słowackiego w Krakowie — Borsuk. Dekoracje sporządzali fachowi dekoratorzy lub malarze, jak Tadeusz Gierula, St. Marcinow, a także zdolny uczeń Akademii Sztuk Pięknych, Tad. Palczewski. Dzięki temu udało się im wystawić takie sztuki jak: „Ponad śnieg", „Kordian", „Grube ryby", „Radca pana radcy", „Betlejem polskie" i wreszcie tuż przed wojną, w oprawie dekoracyjnej godnej prawdziwej sceny — „Gałązkę rozmarynu" Nowakowskiego. Należy dodać, że zespół aktorski rekrutował się prawie całkowicie z młodzieży góralskiej.

Niestety jednak, zarówno na tym terenie, jak i gdzie indziej, na Podhalu dał się zauważyć po wojnie upadek tych ambicji organizatorskich, związanych z osłabieniem ruchu letniskowego i odpływem do większych miast jednostek bardziej wartościowych. Podczas gdy w Nowym Sączu istniejący przed wojną teatr Robotniczy wznowił obecnie swą działalność, mniejsze miasteczka podhalańskie, i nie tylko podhalańskie, są zupełnie opuszczone i gdyby nie działalność nauczycieli szkół powszechnych i średnich — ograniczona zresztą bardzo wskutek nawału zajęć i ciężkich warunków bytowania — byłyby zupełnie pozbawione kulturalnej rozrywki, której brak powoduje panoszenie się alkoholizmu i bójek. W takich ośrodkach szczególnie paląca jest sprawa fachowej siły, która by zorganizowała teatr ochotniczy na każdym terenie wiejskim, a także sprawa doboru repertuaru.

SPRAWA REPERTUARU

Twórczość dla teatru popularnego można by w pewnym sensie porównać z literaturą dla dzieci i młodzieży: i tutaj mnożyły się do niedawna pozycje marne i bezwartościowe, bowiem autorzy poważni i prawdziwie uzdolnieni uważali ten rodzaj twórczości za pewnego rodzaju obniżenie klasy. Utwory dla teatru amatorskiego pisali albo grafomani, albo, w najlepszym razie — ludzie natchnieni szlachetnym poczuciem społecznej potrzeby, lecz chwiejne okazały się fundamenty tej sztuki, zbudowane z... dobrych chęci. Nic dziwnego, że, wobec panoszenia się tandety, organizatorzy teatru amatorskiego sięgali do niejednokrotnie przewyższającego ich siły i możliwości repertuaru klasycznego.

Sprawa doboru sztuk dla teatru popularnego ma jednak inny jeszcze aspekt. Oto ludność wiejska nie lubi utworów z życia wsi. Jest to zresztą objaw ogólnie znany, pokrewny znowu zamiłowaniom dzieci, do których silnie przemawia baśniowość i egzotyka. Wieś oddalona od wielkomiejskiego środowiska szuka na scenie tych momentów, które mogłyby jej ukazać inny świat, odrębny od spraw widzianych co dzień, podobnie jak popularna scena miejska łatwo wchłania nawet powierzchownie i efekciarsko ujęty regionalizm. Gwara na scenie, zwłaszcza jeżeli jest to gwara miejscowa, drażni ludność wiejską, która uważa ją za wyśmiewanie jej mowy. Prymitywna w odczuwaniu publiczność najchętniej widzi sztuki pisane językiem literackim, oparte na życiu środowisk inteligenckich, gdzie życie płynie łatwo i gładko, bez ciężkiej walki o byt, która jest jej udziałem.

I tutaj znowu sięgnę do doświadczeń teatralnych z terenu podhalańskiego miasteczka. Repertuar tutejszych przygodnych przedstawień po wojnie obejmował przeważnie sztuki ludowe. Były to albo mizerne utwory dydaktyczne, z repertuaru przedwojennego, jak „Zrękowiny u Druzgały" i inne, w których pijaństwo i bogaty ożenek stanowiły niezbędne dla przeprowadzenia umoralniającej tezy motywy, albo przeróbki utworów literackich, jak „Wiesław", albo wreszcie sztuki współczesne z repertuaru popularnego, wprowadzające problematykę społeczną. Wszystkie te widowiska, mimo głodu rozrywek, wzbudziły w miejscowej ludności małe zainteresowanie, co było już widoczne w momencie, gdy podnosiła się kurtyna, ukazując wnętrze izby wiejskiej. Jedynie tańce ludowe, i to zwłaszcza z innych okolic, spotykały się z pełnym entuzjazmu przyjęciem. Nie była to już bowiem kopia otaczającej ich rzeczywistości, lecz uwznioślenie znanych im motywów, co zaspokajało ich niewyrobioną, lecz silnie reagującą na wrażenia estetyczne wyobraźnię.

Momentem przełomowym, prawdziwym wydarzeniem dla Krościenka było wystawienie „Ślubów panieńskich" w wykonaniu młodzieży nowopowstałego gimnazjum. Młodzież ta, borykająca się z trudnościami poprawnego wysławiania, niejednokrotnie z akcentem gwarowym, zaczęła z podziwu godną cierpliwością przezwyciężać trudności niewspółczesnego wiersza; gdy zaś opanowała tekst i znalazła się na scenie, okazało się, że umie o wiele lepiej odtworzyć postacie odległe w czasie i w środowisku niż te, które zna z codziennej obserwacji. Było wręcz zdumiewające, jak łatwo dwudziestoparoletni chłopak, który ukończył zaledwie szkołę powszechną i spędza dzień powszedni na pracy przy gospodarstwie, przedzierzgnął się w wytwornego paniczyka Albina i ośmieszył, bez jakiejkolwiek szarży, jego czułostkowość i przesadę, z jaką pewnością siebie zdolna czwartoklasistka odtworzyła złośliwą Klarę. Dla publiczności krośnieńskiej zetknięcie z innym, dziś już niemal baśniowym światem było przeżyciem zupełnie nowym, które zdołało ku sobie nagiąć nawet jej poczucie humoru, reagujące dotąd jedynie na wypitkę i wybitkę. Z podobnie żywym przyjęciem spotkały się — mimo braku fabularnej ciągłości — inscenizowane fragmenty z „Pana Tadeusza". Dalszym osiągnięciem pozytywnym na tej samej scenie ludowej było wystawienie „Sądu nad latarnikiem" Iłowskiego (wyd. Towarzystwa Teatru i Muzyki Ludowej, Warszawa, 1946). Organizatorzy tej imprezy pragnęli stworzyć pełną wizję autentycznego sądu, w którym widownia stanowiła salę sądową, a oprawa, w postaci protokułującej sekretarki oraz odpowiednich rekwizytów jak toga, biret i dzwonek, stwarzała kompletne złudzenie rzeczywistości. Tutaj więc zupełnie inną drogą uzyskano napięcie dramatyczne, które nie słabło przez cały czas trwania nie pozbawionych dłużyzn przemówień. Momentem kulminacyjnym było jednak wzruszenie natury estetycznej, gdy sam latarnik (tutaj tekst został nieco przekształcony), w trakcie przemówienia obrońcy, wypowiada wstrząsającym i cichym głosem inwokację do „Pana Tadeusza".

Te skromne doświadczenia z terenu podhalańskiego miasteczka dałyby się — być może — uogólnić, a tym samym mogłyby ułatwić autorom dobór tematu, a reżyserom dobór materiału. Jeden wniosek nasuwa się nieodparcie. Należy zerwać wreszcie z postulatem p r z y s t ę p n o ś c i, łatwego popularyzowania, jakże często równoznacznego z tandetą, zerwać ze zgubnym nałogiem przemawiania do ludności niewykształconej w sposób szczególny, uproszczony, równoznaczny z zupełnie już dziś przestarzałym, zdrobniałym przemawianiem do dziecka. Pomijając sprawę samej wartości widowiska, które w tych warunkach nie tylko nie kształci lecz deprawuje smak widza, takie „sztuczki" wcale nie odpowiadają gustom publiczności wiejskiej, którą przede wszystkim mam tutaj na myśli. Mimo pozornej niewybredności spotęgowanej wojną, widza teatralnego na wsi cechuje (może wskutek mniejszego niż w mieście zepsucia) instynktowna wrażliwość na piękno i umie on odróżnić ziarno od plewy. Nie znaczy to oczywiście, by mógł on zasymilować trudne problemy czy skomplikowane zagadnienia psychologiczne, lub dać się porwać zbyt filozoficznej i ciężkiej treści. Repertuar dla teatru ludowego winna cechować zdrowa atmosfera, atrakcyjność fabuły, żywy humor, ale niech to będzie jednak p r a w d z i w a s z t u k a, dająca w małym nawet fragmencie pełnię przeżycia, a nie nędzna jej namiastka, spłycająca każdy problem, widoczny jak błotniste dno w kałuży. O takie proste i piękne sztuki nie łatwo, dlatego też reżyserowie teatru ludowego nie powinni się bać repertuaru klasycznego, który wymaga wprawdzie odpowiedniego przystosowania i większego wkładu pracy, lecz nie ogłupia publiczności tandetą.

Krystyna Kuliczkowska

J. A. SZCZEPAŃSKI

Teatralne próby odwagi

Stańczyk udał, że go bolą zęby, z czego się wyjaśniło, iż na świecie najwięcej doktorów. Sądząc po ilości doktorów teatralnych, wyrywających się z dobrymi radami, teatr — o polskim tu tylko mowa — chodzi z obwiązaną głową i jęczy, że cierpi. Czy to ból udany czy prawdziwy?

Na zjawisko zwane teatrem składa się, wiadomo, mnóstwo czynników, od autora do inspicjenta, od członka miejskiej komisji teatralnej do ministra z góry asygnującego zasiłek lub z dołu pokrywającego niedobór. O trzech spośród tych wielu najniewątpliwiej teatralnych czynników pomówię poniżej, o repertuarze, widowni i krytyce. Materiał doświadczalny: teatry krakowskie. Wnioski: sądzę, że aktualne dla spraw teatralnych całej Polski.

O REPERTUARZE I DOBRYCH CHĘCIACH

Udzielając niedawno wywiadu w sprawach teatralnych, Leon Schiller wykrzyknął z oburzeniem: „teatry w Warszawie to skandal i śmietnik"; i dodał z goryczą: „w teatrze szerzy się duch oportunizmu". Byłoby pewną przesadą szczególne warszawskie stosunki teatralne porównywać z krakowskimi i oba zarzuty Schillera — drugi ważniejszy! — przymierzać do podwawelskich spraw teatralnych. Ale...

Dobrych chęci na pewno w Krakowie nie brak, ani w „Słowackiego", ani w „Starym", ani w „Kameralnym". Nie brakło ich zwłaszcza pół roku temu, gdy — w wyniku procesu fermentacyjnego, zaczynionego zwłaszcza na zebraniach dyskusyjnych „Odrodzenia" — nastąpiła symbioza dyrekcyj teatralnych z zarządem krakowskiego oddziału ZZLP i zachłyśnięto się wizją rewolucji artystycznej, nie wyłączając nowego teatralnego „stylu polskiego". Potem nastąpiło parę udałych i ambitnych premier („Orfeusz", „Wielkanoc", „Miasto w dolinie"...), parę wznowień w tradycyjnym stylu („Fantazy", „Wesele", „Wielki człowiek do małych interesów") i parę gaff. Rezultat ogólny? Szepty rosnące już w półgłos, że kryzys się zbliża, krach, klęska... Na widowni przestronno coraz bardziej, w kasach dno prześwieca, trzeba się ratować. Jak? No, rzecz prosta, „Powrotem" do repertuaru niedawnych dobrych czasów, w których „Muzyka na ulicy" „Codziennie o piątej" robiły „Królewską" kasę. Ktoś tam jeszcze próbuje oponować, ale wielki „Cień" już pada na wszystko, co trąci teatrem. „Katowice, czy Łódź, czy Warszawa mają wielkie państwowe subwencje — słychać żale — dobry teatr nigdy bez subwencji nie wyżył; a u nas miasto skąpi, nie docenia, chciałoby się wykpić rzuceniem siedmiu chudych kotów na pożarcie". Ktoś mruknął: „upaństwowienie teatrów uważaliśmy od dawna za lepsze niż umiastowienie". Ale obecnie ważniejsza jest inna sprawa: dlaczego ów tak pięknie wypracowany plan uczt artystycznych tak szybko pożółkł, ciśnięty *ad acta*? Dlaczego sytuacja teatralna w Krakowie wydaje się jak owo „zachmurzenie wzrastające ze skłonnością do burz" z biuletynów metereologicznych? Dlaczego zawodzi widownia i załamuje się psychicznie kierownictwo?

W KLIMACIE EMIGRACJI WEWNĘTRZNEJ

Polska przebyła głęboką przemianę, choć tego nie widać na oko i nie można rozeznać zwłaszcza w teatrze i po nocnych lokalach. Fundamentem widowni w teatrze przedwojennym był zamożny widz mieszczański, w dużym procencie widz żydowski („żadna impreza artystyczna nie uda się bez poparcia Żydów" — było uzasadnionym przekonaniem dyrektorów i managerów przed 1939 r.). Znaczenie tego żydowskiego widza zniknęło bezpowrotnie. Pozostało jednak po dawnemu znaczenie widza mieszczańskiego. Ale jaki jest on dzisiaj? Przeważnie wściekły na demokrację, zapatrzony w rozkosze życia przedwojennego, drapieżny, wulgarny i tępy. Przed wojną istniała bodaj ciągłość kulturalna; widz obecny, jeśli ma zaprawę, to z teatrów z łaski „rządu GG". Jeszcze w pierwszym roku po oswobodzeniu teatr był dla dzisiejszej publiczności niemal absolutną nowością, i tłoczno było nawet na „Mężu doskonałym". Lecz to przelotne, prymitywne zainteresowanie, ten pseudoentuzjazm już opadł. Do głosu coraz silniej dochodzą właściwe zamiłowania, właściwe pobudki niezmienionego społecznie widza. Jakież one?

Na premierze „Wielkanocy" gwizdami, a na dalszych przedstawieniach „puchami" demonstrowano przeciw humanistycznej i humanitarnej postawie autora, mimo że sztuka jest powściągliwa, i zwłaszcza w ujęciu problemu antysemityzmu połowiczna i niezadowalająca. Na przedstawieniach „Miasta w dolinie" domorośli wielbiciele „Zachodu" usiłowali hałasować przeciw sztuce jako „bolszewickiej propagandzie", chociaż bez drgnienia sprzeciwu oglądali jej reklamę w „Głosie Anglii". Wobec „Bartosza Głowackiego" nie odważono się pokrzykiwać jawnie, ale popisano się zgraną solidarną nieobecnością i sztukę po paru przedstawieniach wypadło zdjąć z afisza. W związku z „Fantazym" rozsiewano plotki, że rolę Majora dopisał Polewka. O uscenizowanej w „Siedmiu kotach" reyowskiej „Rozmowie między panem, wójtem i plebanem" — tak samo; w tymże teatrzyku próbowano protestować przeciw „ośmieszaniu arystokracji". Te wyłącznie krakowskie przykłady można rozciągnąć na każde miasto polskie, które ma teatr.

Równocześnie:

Na przedstawieniach „Króla" podkreślano gorącymi oklaskami wyszydzanie posła lewicowego; na „Wesele" patrzano jako na potępienie rewolucji społecznej (uwypuklenie roli Szeli, z opuszczeniem roli Księdza), a uwielbienie „rewolucji narodowej" niemal według teorii Andersa i praktyk NSZ; znane są też reakcje reakcyjnej widowni na przedstawieniach „Balladyny". Do tego — jeśli chodzi o Kraków — przybywa osobliwy *casus* Teatru Rapsodycznego, który nawet z poczji „Kuźnicy" umiałby ulepić widowisko mgliste, mistyczne, hieratyczne, emigracyjne, enigmatyczne, ezoteryczne i patetyczno-lucyferyczne, a przez rozpaczliwe upieranie się przy wszystkich romantycznych przerostach sprawia, że wolno mówić o jego szkodliwości społecznej, zwłaszcza jeśli idzie o młodzież, którą obowiązuje przymus chodzenia do tego teatru.

OBRAZ W BARWACH NATURALNYCH

Żadna rewolucja w teatrze, przedsiębrana odgórnie, nie zwyciężyła, o ile nie zdobywała poparcia w rewolucyjnie nastrojonych masach widzów i o ile nie miała silnego zaplecza w samym teatrze. Zwycięstwo

teatru romantycznego, naturalistycznego, teatru Antoine'a czy Reinhardta następowały w ścisłym zgraniu ze zwycięstwem nowego typu zainteresowań i gustów publiczności i z pojawieniem się tzw. reformatorów teatru. To samo było w Rosji. Nie można zreorganizować teatru, jeśli się nie zdobędzie nowego widza.

A jak z tym u nas? Do zjawisk przysłowiowych należał dyrektor, zapowiadający Szekspira a wystawiający Bus-Feketego; aktor, który powiadał „klient — nasz pan", i wyżywał się w płaskich farsach przy aplauzie widowni; i widz, który czytał, że powinien zobaczyć „Antygonę", ale szedł pośmiać się na „Kubusia", lub zapłakać na tragedii „Tajfun". W tym układzie stosunków ostrości się nieco stępiły, ale istota rzeczy pozostała niezmieniona.

Jest taka szczególna, przeważnie darmowa publiczność z premier prasowych, która w koło Macieju domaga się teatru artystycznego, teatru poetyckiego, teatru społecznego, organizowania widowni i zerwania z oportunizmem. Lecz publiczność następnych przedstawień, przeważnie płacąca za bilet, domaga się przeważnie „Cioć z Honfleur" i „Ciotek Karola". „Tygodnik Warszawski" upomina się o Krasińskiego. Mówi się też wiele o wychowaniu nowego widza robotniczego, ale równocześnie toleruje się — jako jedyne teatry, do których robotnik uczęszcza regularnie i masowo — amatorskie imprezy na niskim poziomie aktorskim i jeszcze gorszym poziomie, jeśli idzie o program.

PROSTE ZWIERCIADŁO KRYTYKI

Opowiada Stanisław Estreicher w swoich wspomnieniach o „Weselu", przypomnianych ostatnio przez „Od A do Z", że kiedy Rudolfowi Starzewskiemu przyszło napisać recenzję z „Wesela", zabrał ze sobą egzemplarz teatralny i zamknął się z nim w domu na cały tydzień, tak że nawet do „Czasu" przez kilka dni nie zachodził. Nic dziwnego, że powstało studium, które przeszło do historii krytyki teatralnej w Polsce. Dziś trudno o Starzewskiego zmieniającego się na kilka dni w pustelnika dla napisania jednej recenzji, rozmnożył się za to typ Prokescha, szybkością produkcji usiłujący odrobić niewiedzę. Są też — jakby dla przeciwwagi — dzienniki, które recenzyj teatralnych w ogóle lub niemal w ogóle nie ogłaszają. Zestawiając te i inne fakty, Henryk Szletyński z pasją ocenił „Krytykę teatralną": „Z całą pewnością stwierdzić możemy, że stan dnia dzisiejszego jest więcej aniżeli ujemny, że w tej płaszczyźnie kultury osiągnęliśmy już zupełne dno" (Twórczość z listopada 1946). Z całą pewnością możemy stwierdzić, że krytyk krytyki przesadził i że do *dna* tej *płaszczyzny* jeszcze daleko (taka obrona...) Ale na pytanie, czy postępujemy w górę, czy spadamy, nikt nie zawaha się odpowiedzieć, że spadamy.

Dlatego we wszystkich zastrzeżeniach, jakie można mieć w stosunku do teatralnej recenzji Tadeusza Peipera — każdy musi im przyznać nie tylko oryginalność myśli, czasem formy, ale również wyjątkową sumienność i skrupulatność w osądzie i wszelkich sformułowaniach. Gdyby sprawa nie dotyczyła dawnego redaktora „Zwrotnicy", wykrzyknąłby po staroświecku: oto *rara avis in gurgite vasto!* Ale jedna jaskółka nie zwiastuje wiosny.

KWADRATURA KOŁA MOŻE NIE BYĆ KWADRATURĄ

Dotychczas obracałem się w polu krytyki. Co doradzać, co odważyć się doradzać pozytywnie? Należy natchnąć teatr afirmacją i zrozumieniem współczesnej rzeczywistości, to pierwsze. Należy zorganizować nową widownię, to drugie. Należy podnieść poziom krytyki teatralnej, to trzecie. Ba, toż to frazesy bez pokrycia. Spróbujmy zatem sprecyzować: i dyrektorów, i reżyserów, i aktorów (zwłaszcza aktorów) powinno się przekonać, że czasy TKKT nie wrócą, naprawdę i bez wątpienia nie wrócą. Niezorientowanym wytłumaczyć, opornych przekonać, krnąbrnych przymusić. Że zaś zło, które płynie z politycznej negacji wewnętrznej samego teatru, najłatwiej stosunkowo dostrzec i zanalizować (choć się tego nie robi) — problem jest stosunkowo łatwy do rozwiązania.

Nowa widownia? Na razie o powodzeniu decydują łyk, kołtun, prawicowa młodzież, inicjatywa prywatna, słowem miasto mieszczańskie. Trzeba więc sięgnąć do miasta robotniczego, i nawet do wsi. Wieś, mimo że garnie się do teatru i wykazuje niekiedy zdumiewającą chłonność artystyczną (por. doświadczenia teatrów ludowych) — przez dłuższy czas spełniać może rolę tylko podrzędną. Natomiast w środowisku robotniczym znajduje się rozwiązanie dylematu nowej widowni. Bynajmniej nie idealizuję robotnika, bo jeśli znam takich, którzy ze zrozumieniem czytają Przybosia, znam i takich, dla których jedyną rozrywką po pracy jest wódka — a wiem, że większość robotników musi się zmagać ze złym gustem narzucanym jej od lat przez teatrzyki dzielnicowe. Robotników trzeba więc prowadzić do teatru i uczyć dobrego teatru. Zadanie nie tyle trudne co mozolne — ale które musi być wykonane. Jak je pogodzić z opłacalnością teatru? Subwencje były niemal zawsze podstawą bytu materialnego teatrów (subwencje w tej czy innej formie). Dziś prócz subwencji samorządowo-państwowych pora na innych mecenasów, odpowiednich dla naszego wieku, np. na Zjednoczenia Przemysłowe i na „sektor spółdzielczy".

Najtrudniejsze zadanie — z krytyką. Krytyk teatralny spełnia wówczas swoją rolę, gdy umie rozjaśnić w głowach wykonawców i widzów przedstawienia. Takie osiągnięcie krytyki — rzadsze niżby się mogło zdawać na pierwszy rzut oka — jest możliwe, gdy krytyk jest doświadczonym człowiekiem teatru. Doświadczenia nabywa się z wiekiem. Krytyka teatralna winna być sprawą doświadczonych i „wtajemniczonych". Nie jest o to obecnie łatwo w Polsce. Starsze humorystki i młodsi literaci piszący o teatrze nie dysponują ani wiedzą, ani doświadczeniem. Sęk w tym, że dobry krytyk teatralny winien dużo, dużo czasu poświęcać swoim zadaniom. Co nie w każdego, nawet powołanego, mocy.

?!

Taki „zasadniczy" artykuł wymaga koniecznie zakończenia, czyli tzw. kropki nad i. Niech nią będzie (tą kropką) powrót do punktu wyjścia. Zabierają głos o teatrze ministrowie i woźni, toczą się dyskusje teatralne wśród literatów i rajców miejskich, wśród wąskiej elity i szerokich mas, wśród siwych starców, szarego ogółu i „zielonej" młodzieży. Drukuje ankiety teatralne miesięcznik „Teatr" i dziennik „Echo Krakowa". Piszą o teatrze członkowie ZZLP i ZZASP. Piszę i ja. A dziwo zwane teatrem, nic sobie z tego nie robiąc, żyje z dnia na dzień, choć chciałoby żyć statecznie jako dawniej. Kto, u diabła, znajdzie tyle sił, energii i talentu, by nie tylko mówić o reformie, ale, bodaj w jednym szczególe, naprawdę zreformować stosunki w teatrze dzisiejszym?

J. A. Szczepański

Stefana Flukowskiego „Soczewica..."

I

Dziejów minionych nic nie oświetla tak jasno, jak ognie wojny. Ognie, które w roku 39 zaczęły szerzyć swe straszliwe światła, umożliwiły najjaśniejsze odczytanie kilkunastu stuleci stosunku Germanii do ziem słowiańskich. Relacje historii nabrały życia i... nabrały śmierci.

Nic dziwnego, że nasi literaci korzystają z przeżytej wojny, jak gdyby ich ona postawiła wobec najwymowniejszych wykopalisk, jak gdyby odkopała niemiecką przeszłość i ukazała ją w kształtach o nieznanej skądinąd plastyce.

Ale Flukowski — wychodząc z przesłanki, że natura niemiecka jest niezmienna, — posunął się tak daleko, że Niemców epoki Łokietka przedstawia tak, jak gdyby kilka lat temu oglądał ich w Polsce. Ludożerczość i ziemiożerczość, wiara w siłę niemiecką, „najlepszą siłę na świecie", pogarda dla Polaków, bezwzględność metod działania lub przejściowe stosowanie metod lisich, wykalkulowana polityka populacyjna, bezduszne zmechanizowanie, obejmujące sobą nawet dziewczęta — wszystko to przenosi z naszych czasów niemal bez przetworzeń w czasy Łokietka. To, co sam widział lub słyszał, nie jest dla niego materiałem, na którego podstawie starałby się rekonstruować Niemców XIV stulecia i znajdować w nich zarodki Niemców współczesnych; przyjmuje on, że Niemcy z czasów Łokietka są identyczni z tymi, jakich sam doświadczył. Chwilami ma się wrażenie, że sprawy tamtej epoki są dla niego tylko pretekstem do podjęcia spraw naszej.

Takie podejście do tematu — przy braku nowych interpretacji — jest ryzykowne, bo ubiera w kostiumy z czasów Łokietkowych to, co wszyscy znają.

Co jednak razi w „Soczewicy", co razi właśnie w niej, to groteskowe potraktowanie niemieckiej dyscypliny i niemieckiego zmechanizowania, tych groźnych podstaw niemieckiej siły. W inaczej pojętym utworze dałoby się to uzasadnić, w tym nie, bo cała sprawa Łokietka, symboliczna ważność i trudność tej sprawy zatraca się, skoro wróg jest śmieszny, a nie niebezpieczny. Groteska niemieckości sprowadza na „Soczewicę" głębokie pęknięcie, powoduje w niej rażącą sprzeczność myślową.

II

W podejściu do tematu Polaków wyraził się ból, z jakim Flukowski w tragicznych latach obserwował polskie wady, i wyraziła się w nim radość, z jaką mógł skonstatować wartość polskich zalet.

Zaraz pierwsze wystąpienie rycerzy, Witucha i Leluji, pijanych i zatroskanych o to, kto z nich idzie pierwszy, a kto głośniej śpiewa, wskazuje na polską lekkomyślność i pyszałkowatość. Jedno i drugie nie pozostaje sprawą prywatną, bo pyszałkowatość nie oszczędza Łokietka, a lekkomyślność prowadzi do niebezpiecznie mylnych relacyj w sprawie tak ważnej jak uzbrojenie. Jest jednak w rycerzach zaleta, która przeważa szkodliwość wad: dzielność. W decydującej chwili każdy z nich spełnia swe zadanie. — Korzystniej przedstawia Flukowski kmieci. Czyni z nich rasę urodziwą, czyni z nich ludzi wiernie i ofiarnie strzegących ziemi, czujnie śledzących niemieckie przygotowania do walki, ale — tu ich wada — lekkomyślnie przeceniających własne siły i dlatego padających pod chytrymi ciosami Niemców. — W tych wszystkich rysach wyczuwa się związek z naszymi czasami, związek nieraz przez autora sugestionowany ryzykownie.

Wyczuwa się go także w postaci Bolesława, księcia opolskiego, zniemczonego Piasta. Gdy o dworach panów śląskich mówi, że ani to niemieckie, ani polskie, ale sicher książęco-śląskie, mówi niemal słowami wielu nowoczesnych śląskich pietonów. Od wielu z nich nie różni się wcale, gdy wyznaje, że uważa za wskazane współpracować z każdym, kto jest silniejszy i daje zarobić, i gdy taka współpraca czyni go wykonawcą polityki niemieckiego cesarza. Z książąt słowiańskich, niemczących się w ciągu stuleci, jedno jest w Bolesławie na pewno autentyczne: powoływanie się na obyczaje niemiecko-cesarskie jako na obyczaje gładsze, ale jest to zbyt mało, aby dać wyobrażenie o owym potwornym zjawisku, jakim było poddawanie się książąt słowiańskich niemieckim wpływom duchowym, za którymi podstępnie szła niemiecka zaborczość. Jedna z najbardziej niszczycielskich tragedyj dziejów Słowiańszczyzny i Polski wcale nie przeniknęła w utwór Flukowskiego, a przecie niejedno, co poprzedzało rok 39, miało w sobie podobne zarodki zła.

III.

Świetne możliwości autora przejawiły się w ujęciu Łokietka. Unikając koturnowości i patosu, znalazł Flukowski sposób osadzenia wielkości w prostocie.

Zanim wielki człowiek staje przed nami, słyszymy o nim zdania, które bynajmniej nie przygotowują nas na ujrzenie kolosa umysłu i charakteru. Wrogowie mówią pogardliwie o jego łatwowierności i nieorientowaniu się w sytuacji politycznej: „*Ten zawsze najmniej będzie wiedział*". Swoi ufają wprawdzie jego mądrości, ale pyszałkowato odliczają każdą sytuację, w której — w ich własnym mniemaniu — okazali się mądrzejszymi od niego, no i jeszcze opowiadają o nim dykteryjki, mające świadczyć o poufałości, do jakiej ich dopuszcza. Taki jest stosunek otoczenia do niego.

Ale od pierwszego jego wystąpienia każe nam autor myśleć o nim inaczej. Pogardliwe sądy wrogów nie potwierdzają się, Łokietek wszystko wie, wszystko pamięta, bystro wyjaśnia ciemne zdarzenia, a na zarozumiałość swoich rzuca ironiczny uśmiech.

Gdy po raz pierwszy poznajemy go bezpośrednio, stoi przed nami bosy, w zgrzebnej koszuli i płóciennych spodniach, bo powrócił od robót ogrodowych, które wykonywał wespół z parobkami. Tak wyglądający książę prowadzi z niebezpiecznym wrogiem rozmowę mającą pierwszorzędne znaczenie państwowe. Rozmowie tej nadał Flukowski niepospolitą siłę. Wielkość kierowniczej jednostki łączy się tu przedziwnie ze zwyczajnością, śmiech pozornie pospolity przeplata się troskami wybitnego podniecenia, poufała ironia miesza się z myślami o wielkich władcach-poprzednikach, złośliwość niemal sztubacka służy do usymbolizowania idei państwowej, udawana skromność kończy się zabawnym, wymyślnie zabawnym wyrażeniem decyzji koronowania się na króla.

Rozmowa ta, świetna w całości i tak odrębna stylem, ma jedno miejsce, w którym jej zalety dochodzą do najwyższego stopnia; jest to miejsce, w którym Łokietek mówi o Odrze. Nie ma w tej wypowiedzi nic z owego patosu, nic nawet z owej uroczystej powagi, z jakimi wielkie postaci historycznych dramatów i powieści mówią o wielkich zdarzeniach. Z przejmującą siłą wyraża tu Flukowski wielkiego człowieka postrzępionymi myślami i zdaniami, natręctwem wyobrażeń, mową pijanego, mową umysłu pijanego, umysłu opętanego ideą. Sięgnięcie po takie środki wyrazu w odniesieniu do człowieka sprzed stuleci jest czynem pisarskim śmiałym i — jak się okazuje — skutecznym.

Z ducha śmiałości pochodzi także świetność tej części utworu, w której książę krakowski i sandomierski, a w przyszłości król, każe sobie zdjąć but z nogi i postawić go na stole, potem z uśmiechem długo dyryguje szukaniem dla niego miejsca na stole, a gdy je w końcu wyznaczył, składa doniosłe oświadczenie, które ma być niemal przysięgą, które ma być proroczą wróżbą władcy. Wielki akt kształtuje Flukowski poprzez głębokie w żartobliwości wskazywanie na but, a nie poprzez błyskanie insygniami władzy i nie poprzez pompatyczne gesty.

Łokietek Flukowskiego bywa także inny. Gdy w wystąpieniu finałowym staje wobec córki kmiecia, wyrwanej gwałtom Niemca, ulega wzruszeniu lirycznemu i — ni stąd ni zowąd — mówi jak poeta, mówi zbyt ładnie, a przecie wzruszenie, jakim ma objąć świat kmiecy, powinno mieć odrębność wyrazu zgodną z całością jego osobowości. W tej zbyt literackiej wypowiedzi zatraca Flukowski poprzednie rysy postaci, popełnia błąd podobny do błędów Świrszczyńskiej i Otwinowskiego. Żeby użyć porównania, raz już użytego: blondynowi przylepiono wąs bruneta.

Przykrzejsze w Łokietku Flukowskiego są b r a k i, jakie w nim odczuwamy. Cóż ma on do powiedzenia jako umysł? Jaka jest jego filozofia kierowania ludźmi? Jakież podstawy jego wiar i jakie jego niepewności? Nic z tego nie ma w dramacie. Oczywiście nie exposé poglądów politycznych jest tu potrzebne, ale choćby kilka wykrzyków czy kilka burknięć, w których zamigotałyby myśli przodującego człowieka. Wprawdzie brak ich można by częściowo wytłumaczyć faktem, że autor uczynił Łokietka wielkością osamotnioną, że nie dał mu do boku żadnego powiernika myśli, ale przecie starcie z księciem Opolskim można było podnieść na wyższy poziom intelektualny i wnieść w nie — zamiast motywów powieści kryminalnej lub obok nich — jakieś rzuty wybitnego umysłu. Raz pozwala Flukowski wypowiedzieć Łokietkowi mocno brzmiący aforyzm: „*Jak się ma ziemię, to się ma wszystko*", ale czy to nie jest znowu wąsem bruneta przylepionym blondynowi?

IV

Autor troszczy się zbytnio o z e w n ę t r z n y przebieg buntu, a za mało o przebieg d r a m a t u o buncie. Za wiele dba o epizody, za mało o budowę dramatyczną, w którą należy je wkonstruować. Za wiele uwagi poświęca zabójstwom, za mało duszom zabijającym.

Nawet niezależnie od wymogów dramatu, jako formy literackiej, utwór Flukowskiego cierpi na wady budowy. Tematy nie zrastają się ze sobą, wątki — zamiast wydłużać się w długie linie — rwą się, zapadają się w niebyt. Utwór nie jest całością, nie jest nawet układem całostek.

V

Niewątpliwie przyświecały Flukowskiemu dobre idee treatralne. Niejedna część utworu wskazuje na ambitny zamiar pełnego ożywiania sceny i w niejednym epizodzie po trosze spełnia się ten zamiar — nie bez korzystnej współpracy reżysera Chaberskiego. Świetny pomysł wprowadzenia niemoty dla nadania wartości scenicznej językowi ruchów — nieprzemyślany przez autora, nieuchwycony w jego obfitych możliwościach — sprowadza się w realizacji niestety do gry najbardziej wulgarnej.

Największym powodzeniem cieszy się u widzów Walter, który z rycerza Leluji czyni knajpkowego pijusa i który w każde zdanie i w każdą minę umie wnieść komizm nieodparty. U wielu widzów budzi śmiech także groteska niemieckości i to w momentach najbardziej pospolicie ujętych, podczas gdy bardziej wyszukane ujęcia Marii Dulęby, jako Winifredy, mijają bez odgłosów.

Łokietek Karbowskiego ma w rozmowie z wójtem Albertem dramatyzm złożony i donośny, ale nie jest to Łokietek Flukowskiego. Śmiały temat buta nie otrzymał ani od aktora, ani od reżysera kształtów właściwych. W dalszych partiach, im bardziej Karbowski napusza Łokietka, tym bardziej go opuszcza.

Nie można pominąć milczeniem p. Ziejewskiego, który osiąga wysoki stopień ekspresji wszędzie, gdzie autor pozwala mu na to.

Zgrzyta przedstawienie językiem Niemców. Język Niemców w dramacie polskim powinien być jednym z elementów ich obcości, więc powinien być ich własnym językiem. Wymaga to ze strony autora wymyślności w prowadzeniu całego dramatu. Ale tylko aktorskich podsłuchań wymaga gatunek niemieckiej polszczyzny (jak tego dowiódł Woźnik w „Zamachu") a Teatr Kameralny nie uczynił nic, aby zdobyć ten gatunek choćby w przybliżeniu.

Plastykę sceniczną Stopki krępowała szczupłość sceny, a w akcie rozmowy Łokietka z Albertem nie kierowały nią stosowne wskazania reżysera, skutkiem czego walory przestrzenności traci najlepsza część utworu.

Tadeusz Peiper

ROBNE WYJAŚNIENIE W INNEJ SPRAWIE

Dobrze zrobiła Anna Świrszczyńska gdy poprzez list do redaktora Odrodzenia poinformowała nie dość uważnych czytelników, że to, co w moim artykule „Wśród mroków" mówi Orfeusz i Eurydyka, to nie są tylko cytaty z jej dramatu.

Uważni czytelnicy na pewno jednak zrozumieli to sami, zrozumieli, że Orfeusza i Eurydykę wyzwoliłem z pęt autorki, wziąłem na bok i przeprowadziłem z nimi rozmowy poufne, że więc prócz tego, co mówią w jej dramacie, musieli jeszcze czynić mi wyznania własne, musieli uświadamiać sobie samych siebie.

Te poufne rozmowy przeprowadziłem nie na prawach parodysty, lecz na prawach krytyka, starającego się — poprzez samouświadomienia rozmówców — odsłonić wewnętrzną strukturę ich postaci. To, a nie co innego, było zasadniczą sprawą rozmów. Różne miejsca dramatu Świrszczyńskiej nie były w nich rozpatrywane na chybił trafił, lecz pochodziły z punktów węzłowych, w których postacie obrastają stopniowo w rysy najbardziej istotne. Celem mojego artykułu było nie śmieszyć, lecz budzić. Budzić tych wszystkich, którzy pod sugestią pochwał, a nawet zachwytów, roztaczanych wokół nieudałego dramatu, sennie poddawali się słowom. Budzić — w imię racji literackiej, w imię wymogów, od których zrozumienia i przestrzegania zależy los naszego teraźniejszego dramatopisarstwa.

STANISŁAW OSTOJA-CHROSTOWSKI

Wystawa współczesnej grafiki polskiej w Moskwie 1946

Po otwarciu wystawy

Rok temu minister kultury i sztuki polecił mi zorganizować wystawę polskiej grafiki współczesnej w Moskwie. Zdawałem sobie sprawę z tego, że grafika polska będzie się musiała zmierzyć ze świetnym współzawodnikiem, bowiem w Związku Radzieckim, jak i w Polsce, ta właśnie dziedzina sztuki wykazywała ostatnio niezwykłą i dawniej nieznaną żywotność; uświadomiłem sobie ponadto, że zebranie eksponatów nastręczy wiele trudności. Warszawa, jako ośrodek kulturalny — przestała istnieć. Zbiory państwowe i prywatne zostały zniszczone lub wywiezione. Wielu artystów zginęło; ci, co ocaleli, stracili warsztaty pracy, narzędzia, klocki drzeworytnicze, płyty akwafortowe, zapasy odbitek. A muszę zaznaczyć, że w okresie międzywojennym właśnie szkole warszawskiej zawdzięczaliśmy wspaniały rozkwit grafiki polskiej, który uczynił ją jedną z naszych najmocniejszych pozycji artystycznych.

Nasze muzea nie wykazywały na ogół większego zainteresowania dla współczesnej grafiki polskiej, dokonując zupełnie przypadkowych zakupów, od wypadku do wypadku, w skromnym zresztą zakresie. Zbiory współczesnej grafiki polskiej w muzeach pochodziły prawie wyłącznie z darów artystów.

Aby urządzić zamierzoną wystawę grafiki polskiej w Moskwie i aby jednocześnie zebrać rozrzucone po kraju bezcenne dzieła sztuki, Ministerstwo Kultury i Sztuki wyasygnowało odpowiednie fundusze na zakup rycin. W ten sposób zapoczątkowano Państwowy Zbiór Grafiki Współczesnej.

W wyniku długotrwałych starań zebrano materiał, dający mniej więcej pełny obraz naszego wysiłku w dziedzinie grafiki za okres w przybliżeniu od ostatniego ćwierćwiecza wieku XIX po dzień dzisiejszy.

Znalazły się więc na wystawie akwaforty: Konstantego Brandla, Feliksa Jabłczyńskiego, Franciszka Siedleckiego, Jerzego Hoppena, Jana Rubczaka, z młodszych Frydrysiaka i Rolicza; litografie: Wacława Borowskiego, Konrada Srzednickiego, Antoniego Suchanka, Sołtana i innych; drzeworyty: Edmunda Bartłomiejczyka oraz prace Skoczylasa i jego uczniów — Chrostowskiego, Cieślewskiego, Goryńskiej, Kulisiewicza, Konarskiej, Krasnodębskiej-Gardowskiej, Rakka, Podowskiego, Jurgielewicza, Hładki, Manteuffla, Waśkowskiego, Zybelberga i innych; wreszcie uczniów Chrostowskiego — Borowczyka, Krzeczonowskiego, Landau, Hiszpańskiej, Siemieńskiej, Fijałkowskiej i innych.

Wystawiono też prace artystów krakowskich — z Jurkiewiczem, Makarewiczem i Majchrem na czele, artystów z Poznania, Bydgoszczy, Gdańska i Gdyni, Lublina i Katowic.

Na wystawie Współczesnej Grafiki Polskiej w Moskwie sześćdziesięciu artystów reprezentuje ogółem 250 prac. Najbogaciej reprezentowani są: Pankiewicz i Wyczółkowski, Brandel i Jabłczyński, Skoczylas, Bartłomiejczyk, Chrostowski, Cieślewski, Kulisiewicz i Mrożewski.

Ciekawą pozycją Wystawy jest dział drzeworytu ludowego z XVIII i XIX wieku, nowe, ręcznie kolorowane odbitki ze starych klocków w wydaniu Łazarskiego z 1923 roku.

Kilka zaledwie prac grafików krakowskich przedstawia nasz wysiłek z okresu okupacji.

Plon artystyczny lat powojennych przedstawia się również dość skromnie: ani wojna, ani tragedia Warszawy — nie znalazły jeszcze w grafice wyrazu takiego, jakiego oczekiwano. Wielu z nas stanęło od razu po wojnie do pracy w wielkim dziele odbudowy, oddając Państwu bez reszty swój czas i wysiłek. Poza tym artyści warszawscy, zmuszeni organizować od nowa własne życie, byli zahamowani w swym wysiłku twórczym; warsztaty były zniszczone, brak było najprymitywniejszych choćby pracowni, desek, rylców, farb i papieru.

A może po prostu zbyt jeszcze głęboko tkwi w nas przeżyty dramat, żebyśmy mogli tworzyć dzieła w stylu Pirenesiego czy Goyi.

Zorganizowania wystawy polskiej grafiki współczesnej na terenie samej Moskwy podjął się całkowicie WOKS (Wszechzwiązkowe Towarzystwo Kulturalnej Współpracy z Zagranicą), od którego zresztą wyszła inicjatywa urządzenia wystawy.

Zbiory grafiki polskiej znalazły się w świeżo odnowionych, pięknych salach Moskiewskiego Związku Artystów Plastyków, w centrum miasta.

Pragnę podkreślić zupełnie niezwykłe ustosunkowanie się WOKSu zarówno do naszej imprezy, jak też i do mojej osoby. Ustosunkowanie, które było czymś więcej niż zwykłą gościnnością i serdecznością; na każdym kroku spotykałem się z dowodami szczególnych względów, szczerego zainteresowania i przyjaźni.

Nie tylko zresztą ze strony WOKSu. Wystawa nasza stała się wydarzeniem życia kulturalnego Moskwy.

Prasa radziecka podkreśla wysoką kulturę i poziom prac naszych artystów, świetne opanowanie rzemiosła i poczucie stylu, a przede wszystkim wielką różnorodność indywidualności twórczych. To samo podkreślali również w rozmowach prywatnych ze mną najwybitniejsi artyści radzieccy. Znakomity historyk sztuki, członek Akademii Nauk, profesor A. Sidorow, który przez miesiąc przebywał w Polsce, oświadczył, że współczesna grafika polska zajmuje czołowe miejsce w skali światowej. Nie ustępuje jej grafika radziecka, ale, jeśli chodzi o grafikę innych krajów, którą zna dobrze, to wątpi, czy jeszcze w jakimkolwiek kraju znajdzie się taka wspaniała plejada grafików — jak w Polsce.

Wystawę zwiedziło ogółem ponad 12 tysięcy osób — studenci, młodzież szkolna, robotnicy i inteligencja plastycy, szeregowi żołnierze i generałowie. Wszyscy prawie podzielili się swymi wrażeniami w Księdze pamiątkowej wystawy. Zwiedzający dawali wyraz swej wdzięczności dla organizatorów wystawy i wrażeniom, jakie wywarł na nich pokaz prac polskich artystów. Wiele osób dawało charakterystykę całości lub poszczególnych wystawców, wyrażało życzenie, aby po tak pięknym pokazie co rychlej nastąpiły inne, wreszcie dało wyraz współczuciu z powodu bolesnych strat, jakie poniosła grafika polska w okresie okupacji. (Na ogólną liczbę 60 artystów — 12 rozstrzelanych przez Niemców). Studenci szkół artystycznych pisali, że na wystawie można się było wiele nauczyć. Wiele osób podkreślało, że po raz pierwszy miało możność zapoznać się ze sztuką polską, że wyobrażało sobie artystów polskich jako suchych formalistów i epigonów sztuki zachodniej. Przekonano się jednak, „że graficy polscy umieją rysować i głęboko przeżywać swoje wzruszenia artystyczne, że ten fakt właśnie zbliża sztukę polską i radziecką". To samo stwierdza jeden z najwybitniejszych artystów Związku Radzieckiego, dwukrotny laureat nagrody Stalina, Aleksander Gierasimow. Pisze on między innymi, że z uczuciem wielkiej satysfakcji oglądał wystawę, że dotąd niesprawiedliwie oceniano w Związku Radzieckim sztukę polską, kończy zaś serdecznym pozdrowieniem polskich artystów.

Wystawa Współczesnej Grafiki Polskiej w Moskwie cieszyła się wielkim powodzeniem nie tylko u obywateli Związku Radzieckiego. Przedstawiciele korpusu dyplomatycznego wielu państw zagranicznych zapytywali o możliwość przeniesienia wystawy do ich krajów. Wystawa została zamknięta w Moskwie w dniu 2 listopada, po czym, na zaproszenie Wszechrosyjskiej Akademii Sztuk Pięknych, przewieziono ją do Leningradu.

Wielkie zainteresowanie, jakie wzbudziła Wystawa Współczesnej Grafiki Polskiej, świadczy o tym, jak poważne mamy przed sobą możliwości i zadania w dziele rozwoju międzynarodowej współpracy kulturalnej, która jest niezbędnym uzupełnieniem stosunków między sojusznikami.

*

Chciałbym jeszcze pokrótce przedstawić najważniejsze różnice i podobieństwa między grafiką polską a rosyjską — w ich obecnym momencie rozwojowym.

W pracach naszych artystów daje się zauważyć wpływ impresjonizmu, oparcie się na jego zdobyczach, oraz wyraźny indywidualizm i swoboda w tematyce i ujmowaniu zagadnień graficznych.

Porównajmy dla przykładu Skoczylasa i Kulisiewicza, Mrożewskiego i Bartłomiejczyka, Krasnodębską-Gardowską i Fijałkowską, Cieślewskiego i Manteuffla. Każdy z nich ma inny stosunek do rzeczywistości, zupełnie odrębne i na innych przesłankach oparte ujmowanie spraw artystycznych.

Natomiast grafika radziecka podtrzymuje hasło świetnych w sztuce rosyjskiej tradycji — umiarkowanego realizmu, zwłaszcza w zakresie rysunku. W grafice radzieckiej zasadniczym elementem wyrazu, niespotykanym w takiej rozpiętości i bogactwie w sztuce nie tylko naszej, ale i całego Zachodu — jest człowiek, widziany w kompleksie akcji, pracy, przeżyć osobistych, mocno związany z terenem działania i obliczem ziemi.

Drugie, co uderza nawet laika — to różnica w rozmiarach rycin. Obrazy naszych grafików w 90% są przeznaczone do zdobienia wnętrz, czy też do przechowania w tece zbieracza. Ilustracji jest niewiele. Inaczej ma się rzecz w Związku Radzieckim. Minimalna zaledwie ilość rycin, i to wyłącznie litografij — których sama technika narzuca duże wymiary — służy zdobnictwu.

Wpłynęło to również i na zróżnicowanie technik. Grafik polski, wykonujący drzeworyt na ścianę, musi znaleźć inne środki techniczne niż drzeworytnik radziecki, wykonujący ilustrację do książki. Toteż artyści sowieccy zwrócili się do wzorów z połowy XIX wieku. Na tym polega właśnie ich odrębność. Drzeworytnik radziecki łączy w swej fakturze cechy faksymilowe z interpretacyjnymi, dzięki czemu jedne kreski są białe na czarnym, inne — czarne na białym; nie gardzi on również i drzeworytem tonowym. Te cechy nie są właściwe drzeworytnikowi polskiemu.

I jeszcze jedno. W Związku Radzieckim artyści nie uprawiają prawie technik metalowych, jak miedzioryt, akwaforta, akwatinta i inne. Obfitość tego rodzaju rycin na wystawie polskiej wywarła duże wrażenie na widzu radzieckim.

Stanisław Ostoja-Chrostowski

Uchodźcy polscy na Węgrzech

W Budapeszcie ukazała się książeczka o życiu polskich uchodźców na Węgrzech, estetycznie wydana i bogato ilustrowana fotografiami.

Książka ta przynosi w formie bardzo prostej sprawozdanie z minionych lat wojny. Dowiadujemy się z niej szczegółów, których ze względów politycznych nie można było rozgłaszać, a o których nawet ci, którzy byli na Węgrzech, nie wiedzieli.

Już od 1938 r. Niemcy próbują uzyskać zgodę Węgrów na współpracę (rozmowy Darányi'ego z Hitlerem i Ribbentroppem). 27 kwietnia 1939 r. min. Csaky w nocie skierowanej do rządu włoskiego wypowiada się w sprawie stanowiska rządu węgierskiego.

Odpowiedź jego wydaje się tym śmielsza, że wystosowano ją po Monachium. Ale to był dopiero początek presji niemieckiej. W czerwcu 1939 r. hr. Paweł Teleky wysłał do Hitlera i Mussoliniego list, w którym wyraźnie stwierdza, że Węgry nie przyłączą się do akcji przeciw Polsce. Łatwo sobie wyobrazić, jakie oburzenie wywołały te listy na Wilhelmstrasse. Zażądano, aby Węgry wycofały listy, ale Teleky się na to nie zgodził.

Niemcy próbują więc innej drogi — kuszą korzyściami przystąpienia do osi i wysyłają taką ofertę: „Jeśli Węgry pozwolą, aby niemieckie i słowackie wojska uderzyły z terytorium węgierskiego na tyły Polski, otrzymają w zamian za to, tytułem praw historycznych, część Galicji, a także będą mogły uzyskać inne korzyści".

Węgierska „Rada Stanu" odrzuciła jednogłośnie ofertę niemiecką, o czym zawiadomił Teleky posła niemieckiego: „Jeżeli Niemcy upierają się przy tym, aby wojska niemieckie mogły przemaszerować przez niektóre przełęcze węgierskie, on (Teleky) zwróci się do posła angielskiego, czy Anglicy nie zechcą wysłać swych wojsk przez jakąś inną przełęcz. Węgry są bowiem krajem neutralnym".

Po tej odpowiedzi Niemcy raz jeszcze próbują złamać upór Węgrów. Tuż po wybuchu wojny przeciw Polsce Ribbentrop prosi o pozwolenie na przemarsz wojsk niemieckich przez terytorium Węgier. Csaki daje mu oficjalną odpowiedź: „Rząd węgierski z prawdziwą przykrością zmuszony jest prosić Niemcy, aby odstąpiły od zamiaru użycia kolei węgierskich na transporty wojsk niemieckich przeciw Polsce. Rząd węgierski — jak to już wielokrotnie mieliśmy sposobność przedstawić — przyzwolenie na tego rodzaju akcję uważa za niezgodne z honorem narodu węgierskiego".

Ostatnią próbą przekonania Węgier była uczyniona przez Słowację propozycja przepuszczenia jej wojsk, ale i ta została odrzucona bezzwłocznie.

Stanowisko Węgier było konsekwentne. Dobre stosunki z Polską to gwarancja osłabienia wpływów niemieckich — to opór przeciw wciągnięciu narodu w politykę osi.

Jaką bezpośrednią korzyść odniosła Polska z takiego stanowiska Węgier? Strategicznie zyskaliśmy na południu otwarte granice Rumunii i Węgier. Pozwoliło to nam nie tylko stawiać dłuższy opór, lecz także wycofać się na teren Węgier 150-tysięcznej armii polskiej oraz paru tysiącom ludności cywilnej.

Pierwszym i najważniejszym zadaniem przybywających Polaków było jak najszybsze przedostanie się do Francji. Byli tacy, którzy przez Węgry tylko przejechali, nie zatrzymując się nawet, i dlatego tak trudno o dokładną statystykę. Sytuacja rządu węgierskiego nie była łatwa: Węgry były państwem neutralnym, pozostającym pod bezustanną kontrolą poselstwa niemieckiego.

Wojskowych umieszczano w ośrodkach położonych w południowo-zachodniej części kraju, aby im ułatwić wyjazd za granicę. Rząd węgierski uznał wszystkie paszporty wystawione już w czasie wojny przez poselstwo w Budapeszcie, pozwolił na pobór Polaków na terenie Węgier, dostarczył ubrań cywilnych i udzielił materialnej pomocy Polskiemu Komitetowi Pomocy Uchodźcom. Do czasu upadku Jugosławii, przez granicę węgierską przeszło około 150 000 polskich żołnierzy do Francji, na Bliski Wschód, do Palestyny, Syrii czy Egiptu. Niektórzy z nich przekraczali granicę węgierską kilkakrotnie.

Na Węgrzech znalazło schronienie około 15 000 uchodźców polskich: z tego 7 000 wojskowych, 5 000 cywilnych i 3 000 Żydów polskich, ulokowanych po żydowskich gminach wyznaniowych.

Opiekę nad uchodźcami cywilnymi powierzono IX Departamentowi ministerstwa spraw wewnętrznych z dyrektorem Józefem Antallem na czele. O tym, jak ją sprawował, zaświadczyć mogą ci, którzy byli na Węgrzech.

Strony książeczki bardzo rzeczowo mówią o tym, co dali Węgrzy Polakom w czasie wojny.

Obozy cywilne przypominały raczej osiedla aniżeli obóz. Polacy nie byli skoszarowani, mieszkali przeważnie po wsiach lub w miejscowościach kuracyjnych. Wolność pracy ułatwiała im sytuację materialną, która w miarę przedłużania się wojny stawała się z dnia na dzień coraz trudniejsza. Jeśli idzie o opiekę nad cywilną ludnością, największą zasługą była opieka nad dziećmi i młodzieżą; Węgrzy troskliwie dbali o to, aby nie brakło im niczego, co do rozwoju jest potrzebne. Powstają więc polskie szkoły, szkoła harcerska, gimnazjum (jedyne w Europie środkowej gimnazjum polskie w czasie wojny) i wreszcie około 200 młodych ludzi uczęszcza na wszystkie możliwe wyższe uczelnie węgierskie. Znane z biurokracji, gdy chodziło o Polaków, nie stawiały nigdy przeszkód natury formalnej. Uniwersytety uznają polskie świadectwa dojrzałości, mimo że oficjalnie młodzież jest nie w gimnazjum lecz w obozie. Mimo ograniczeń, które stosuje się wobec własnej młodzieży, każdy z wydziałów przyjmuje Polaków (młodzież polska zwolniona jest z egzaminów konkursowych na medycynie i politechnice) i polscy studenci otrzymują stypendia.

Sprawy kulturalno-oświatowe obejmowały także dorosłych. Wychodząca tu gazeta „Wieści Polskie" jest łącznikiem między rozprószonymi po całym kraju Polakami. Wychodzą również książki polskie, powstaje wydawnictwo, które podczas trzech lat wojny wydało około 80 książek polskich, wychodzi pismo dla młodzieży „Jestem Wasza". Przez cały czas wojny czynny jest również Instytut Polski w Budapeszcie, prowadzący wykłady z zakresu języka polskiego i polskiej literatury na uniwersytecie w Budapeszcie. W Budapeszcie i na prowincji urządza się polskie koncerty (Edmund Roeler z Kolozsvár) i wystawy. Polskie przedstawienia gromadzą publiczność węgierską, a polska flaga nieraz powiewa na publicznych miejscach.

Grono polskich literatów i artystów może się wyłącznie poświęcić działalności kulturalnej, gdyż gospodarze sami się troszczą o ich byt materialny. Nad obozami wojskowymi czuwa Ministerstwo Honwedów. Tu również powołano do pomocy placówkę polską. Siedem tysięcy żołnierzy przetrwało lata okupacji.

Rok 1944 przyniósł niepomyślne zmiany dla Polaków; do władzy doszli ludzie podporządkowujący się zupełnie Niemcom. Okupacja niemiecka wyrządziła wiele zła spokojnej dotąd ziemi węgierskiej! Toteż Czerwoną Armię witano tutaj jako wyzwolenie spod niemieckiego terroru.

Sprawozdanie kończy się podziękowaniem, wystosowanym przez rząd polski do rządu węgierskiego, za „niezwykle cenną i serdeczną gościnę, z jakiej korzystali nasi rodacy".

Węgrzy bardzo skromnie piszą o serdecznej opiece, jaką otaczali Polaków. Nie ma tu nazwisk ani cienia chęci dyskontowania zasług.

Helena Miller-Csorbowa

Władysław Nehring

W 60 rocznicę wydania pracy o starodawnych zabytkach języka polskiego

W roku bieżącym przypada sześćdziesiąta rocznica wydania znakomitej pracy prof. Władysława Nehringa „Altpolnische Sprachdenkmaeler". W związku z tym pragnę dzisiejszemu pokoleniu przypomnieć, odsuniętą nieco w mrok zapomnienia, piękną postać zacnego człowieka, wielkiego uczonego, gorącego miłośnika Polski.

Nehring urodził się 23 października 1830 r. w Klecku pod Poznaniem, z ojca Jakuba i matki Barbary z Gostomskich. Nauki gimnazjalne pobierał w sławnym gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu w latach 1842—1850, po czym studiował na uniwersytecie wrocławskim w latach 1850—1854, gdzie m. i. słuchał wykładów głośnego historyka Ryszarda Roepella. W roku 1855 wyjechał na dalsze studia do Drezna. W następnym roku uzyskał stopień doktora filozofii. Od 1857 r. był nauczycielem gimnazjum w Trześnie, następnie w gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu.

Po śmierci prof. Wojciecha Cybulskiego powołany został na katedrę języków i literatur słowiańskich na uniwersytecie wrocławskim w 1868 r., na którym to stanowisku pozostał do listopada 1907 roku. Był trzykrotnie dziekanem wydziału filozoficznego, piastował też najwyższą uniwersytecką godność rektora.

Wcześnie, bo już w 1851 r., zaczyna pracować naukowo, raz po raz wygłaszając odczyty naukowe w Towarzystwie Literacko-Słowiańskim we Wrocławiu. Do Towarzystwa tego należał w czasie studiów uniwersyteckich, był jego gorliwym członkiem, potem sprężystym prezesem. W 1856 r. ogłasza we Wrocławiu drukiem rozprawę doktorską „De Reinholdi Heidensteinii scriptis historicis", by odtąd już nieprzerwanie zbogacać naszą literaturę naukową cennymi przyczynkami, recenzjami, rozprawami i dziełami. Spis jego prac wynosi z górą 200 pozycyj — wszystkie rzeczy spod pióra jego wychodzące przynoszą zawsze nowe wyniki. Dodamy jeszcze do tego, że razem z Kazimierzem Szulcem był założycielem „Tygodnika Poznańskiego" (1862), jednego z najlepszych polskich pism naukowych w XIX w., a przede wszystkim, wraz z prof. V. Jagičem i A. Brücknerem, redaktorem tak ważnego dla badań słowiańskich „Archiv für slavische Philologie" (Berlin).

Nehring był do pewnego stopnia polihistorem; dzięki głębokiej wiedzy, sumiennym studiom i niezwykłej pracowitości rozwijał swą działalność naukową w kilku gałęziach wiedzy: był archeologiem, etnografem, gramatykiem, historykiem, językoznawcą, historykiem literatury, filologiem, krytykiem, paleografem i mitografem. Rozpiętość zainteresowań widoczna jest przede wszystkim w jego wykładach, które prowadził przez 40 lat, uwzględniając w nich slawistykę w ogóle, z wyróżnieniem polonistyki. Jakże bogaty jest zakres tych wykładów: gramatyka (cerkiewnosłowiańska, czeska, polska, rosyjska), gramatyka porównawcza języków słowiańskich, etnografia słowiańska, starożytna historia słowiańska, starożytności słowiańskie, mitologia słowiańska, historia literatur słowiańskich, głównie historia literatury polskiej. Co za ogrom wiedzy i pracy w to wszystko wkładał! Jaka szkoda, że w wielkiej swej skromności nie chciał tych wykładów ogłosić. Przepadły bezpowrotnie, jak się to dzieje przeważnie z wykładami uniwersyteckimi wielu wybitnych przedstawicieli katedr profesorskich.

Oprócz tych wykładów ogólnych wygłaszał wiele wykładów specjalnych, zwłaszcza z zakresu literatury słowiańskiej, m. i. z literatury czeskiej, rosyjskiej, a przede wszystkim polskiej.

Jego wykłady, opracowywane z niezwykłą sumiennością, odznaczały się znakomitą metodą filologiczną. Uczniowie Nehringa zawdzięczają tej metodzie bardzo wiele. Nehring stworzył szkołę, którą bez przesady można nazwać szkołą Nehringa. Z seminarium pozostającego pod jego kierownictwem wyszli m. i. Kazimierz Roemer, Jan Leciejewski, Mikołaj Bobowski, Leon Biskupski, Jan Rzepecki, Bolesław Erzepki, Antoni Danysz, Bronisław Kasinowski, Leon Mańkowski, Zygmunt Szymański, Adam Babiaczyk, Stanisław Węckowski, Antoni Snowacki, Ignacy Chrzanowski, który w pięknych słowach wyraził, co zawdzięcza swemu mistrzowi. W latach 1877—1904 wyszło 16 prac doktorskich, wykonanych pod kierunkiem Nehringa, ważnych dla naszej historii literatury i naszego językoznawstwa.

W swych pracach naukowych Nehring pozostawił zaledwie okruchy swej wielkiej wiedzy, tylko wyjątki i urywki, wyżej wspomnianych, gruntownych wykładów. Podawać ich dokładny przegląd, przedstawić ich wartość i znaczenie dla nauki polskiej niesposób w krótkiej, okolicznościowej notatce. Poprzestać więc wypada na zaznaczeniu, że Nehring był jednym z pierwszych pionierów w zakresie badań polskiego języka i historii literatury polskiej. Jego to prace metodyczne przygotowały grunt późniejszym badaczom. Najwyższym osiągnięciem jego działalności naukowej jest podstawowa praca dla wielkich badań staropolskich zabytków językowych „Altpolnische Sprachdenkmaeler" (ogłoszona w 1886 roku w Berlinie), zbierająca po raz pierwszy wszystkie znane do tego czasu zabytki języka polskiego, pod każdym względem je jak najdokładniej opisująca i objaśniająca.

Praca ta, z rozmysłem opublikowana przez Nehringa w języku niemieckim, miała jeszcze to znaczenie, że zwróciła uwagę slawistów obcych, m. i. niemieckich, na dawność naszego piśmiennictwa. Powitana tak przez polskich jak i zagranicznych uczonych z wielkim uznaniem była pewnego rodzaju czynem narodowym — dlatego w sześćdziesiątą rocznicę jej wydania wypada przypomnieć i ją i jej autora.

Zasługi Nehringa przedstawiłem w artykułach: 1) „Władysław Nehring. Sylwetka jubileuszowa", „Gazeta Lwowska", 1901, nr 6; 2) „Władysław Nehring". „Encyklopedia Wychowawcza". Warszawa, tom VIII/1909, str. 39 i n.

Wiktor Hahn

O literaturze dla młodzieży

30. X. ub. r. odbyła się w Warszawie pierwsza konferencja w sprawie literatury dla młodzieży zorganizowana przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik". Wzięli w niej udział autorzy, krytycy i redaktorzy wydawnictw dla młodzieży oraz kierownicy bibliotek. W referatach i dyskusji ustalono najpilniejsze zadania w tej dziedzinie literatury.

Na wstępie podkreślono, że rola lektury w życiu psychicznym młodzieży jest inna niż w życiu dorosłych. Ingeruje ona w życie młodzieży o wiele bardziej bezpośrednio i silnie, nie tylko estetycznie, ale praktycznie. Stąd jej większa odpowiedzialność. W wychowaniu emocjonalnym, które jest dziedziną literatury — wielką wagę ma ideał człowieka, jaki ona czytelnikowi nasuwa. O tym ideale człowieka mówiła Maria Kann: „Wszyscy prawdopodobnie pragniemy aby nowy człowiek wiedział, że jego prawo do rozwoju jest większe niż prawo do posiadania, aby jego wartość polegała na tym, kim on jest i jaka jest jego przydatność społeczna, a nie na tym, co posiada... Aby pewność siebie opierał nie na pieniądzu... ale na... społeczeństwie... Aby rozumiał nadrzędność spraw kraju nad prywatnymi... Wszyscy zapewne rozumiemy, iż czasy splendit isolation skończyły się zarówno dla jednostek, jak i dla narodów..."

Referentka podkreśliła, że po wojnie, która poczyniła tak głęboko sięgające spustoszenia w psychice młodzieży, należy przede wszystkim na nowo uświadomić jej wartość ogólnoludzkich ideałów: miłości dobra, sprawiedliwości i piękna. Muszą one być pojęte w sposób najdalszy od ogólnikowej frazeologii, w sposób, który wytrzymuje konfrontację ze współczesnością naszego stulecia. Tylko głębokie przekonanie wewnętrzne piszących pozwoli przekazać je młodzieży.

W związku z tym zadaniem odrodzenia w duszy młodzieży ideałów humanistycznych podnosi referentka konieczność ostrożnego stosowania środków wychowawczych, szczególnie propagandowych. Np. nie należy podsuwać młodzieży obrazów zła i cierpień, spowodowanych przez inwazję hitleryzmu, gdyż te zamiast współczucia dla ofiar mogą wywołać w dziecinnej psychice deprawację. Ten „widok... zwiększy nerwowość i pobudliwość dziecka, obudzi w nim sadyzm, znieczuli jego wrażliwość na cudze cierpienie. Dziecko stwierdzi: „Tak się może dziać" i przyjmie ten fakt do świadomości". — Uleczyć dokonane już zniekształcenia psychiki młodzieńczej można tylko przez wskazywanie pozytywnych wartości, pozytywnych zadań.

Tu ważne jest odwrócenie młodzieży od pojmowania służby dla Ojczyzny wyłącznie jako „sztuki umierania" — ku rozumieniu jej jako pracy budowania. W budowaniu dzisiejszości i przyszłości kraju znajduje młode pokolenie zaspokojenie potrzeby bohaterstwa, znamiennej dla psychologii tego wieku. Z tym łączy się konieczność uwzględnienia głodu encyklopedycznej, praktycznej wiedzy o świecie obiektywnym. Zainteresowanie techniczne i krytyczny realizm, właściwy temu wiekowi, zasługują na jak najsumienniejsze zadośćuczynienie. Podawane młodzieży wiadomości powinny się opierać na ścisłych danych naukowych. Wobec szczególnie dotkliwych braków w tym względzie zaproponowano w dyskusji (dr J. Żabiński) „spółki autorskie" — pisarzy i specjalistów z danej dziedziny nauki. Obok pożądanego wyższego poziomu takich wydawnictw podnosi też referentka konieczność umiejętnego uświadomienia czytelnikom nadrzędnego stosunku kultury do techniki, która ma służyć człowiekowi.

W ogóle wysuwa się dezyderaty dbałości o poziom artystyczny wydawnictw dla dzieci i młodzieży oraz o ożywienie twórczości oryginalnej w tej dziedzinie, gdyż nie można poprzestawać na wznowieniach.

Prócz podstawowych rozważań Marii Kann, które wzbudziły żywe echa w dyskusji (Maria Dąbrowska), wygłoszono na konferencji szereg referatów specjalnych.

Aniela Mikucka, kierownik Instytutu Badań Czytelnictwa Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", przedstawiła wyniki badań nad zainteresowaniami czytelniczymi młodzieży. Najulubieńszą książką jest nadal „Trylogia", Żeromski stoi na dość dalekim miejscu, większą poczytnością cieszy się Prus. Charakterystyczna dla czytelników jest potrzeba humoru, którego szukają w lektu-

Wanda Grodzieńska, redaktorka „Świerszczyka", zwróciła uwagę na brak dzieł z zakresu teorii literatury dziecięcej. Z dziedziny praktyki wskazuje zapotrzebowanie na nową i odpowiadającą naszym pojęciom etycznym twórczość baśniową.

Konstanty Sopoćko omówił zagadnienie graficznego opracowania wydawnictw dla dzieci i młodzieży. W swoich rozważaniach stwierdził, że niewłaściwie postępujemy, naśladując prymitywizm dzieci w rysunkach dla nich przeznaczonych. Dziecko pragnie rysunku „prawdziwego".

W dyskusji brali udział: Julian Tuwim, Jan Dobraczyński, Maria Dąbrowska, Kazimiera Jeżewska, Jerzy Kornacki, Maria Gutry, Helena Bobińska, Helena Boguszewska, K. Koźniewski, J. Żabiński, Janina Osińska, Zofia Dembińska oraz przedstawiciel „Młodej Rzeczypospolitej".

Wnioski uchwalone na zakończenie przez konferencję podkreślają, że miarą wielkości książki jest oprócz talentu autora jej treść ideowa, przynosząca wartości ważne dla narodu albo dla ludzkości, wartości, które posiadają trwałość i znaczenie symbolów.

Podkreślono wreszcie, że literaturze tej stawiać należy te same surowe wymagania, jakie stawiamy literaturze „dla dorosłych", gdyż literatura dla młodzieży nie jest wcale pośledniejszym gatunkiem. Dlatego powinna ona zarówno odpowiadać kryteriom artystycznym, jak i — we właściwych rodzajach dzieł — sprostać wiedzy o współczesnej rzeczywistości.

jap

Warszawska anegdota wojenna

Marian Ruth Buczkowski. Warszawski dowcip w walce 1939—1944 roku. Warszawa, Gebethner i Wolff, (1946); str. 63 i 1 nl.

Bardzo starannie wydana książeczka, zilustrowana i opracowana graficznie przez Leopolda Buczkowskiego (1 rysunek Antoniego Uniechowskiego), zawiera około 80 anegdot warszawskich z okresu okupacji i kilka wierszy, wybranych z konspiracyjnego wydawnictwa „Anegdota i dowcip wojenny". Wybór dowcipów i wstęp nie wyczerpują roli autora książeczki, który jak conférencier opowiada, komentuje, maluje stosunki w okupowanej stolicy, ilustruje je dowcipem, a na cześć tramwajów i tramwajarzy pisze obszerny hymn pochwalny.

Marian Ruth Buczkowski kocha podziemną Warszawę, która każdego ranka zakwitała tysiącami napisów, rysunków i znaków. Lubuje się w warszawiakach, ich temperamencie, „w ich stałej pobudliwości kpiarskiej, opartej na poczuciu własnej godności i realistycznej ocenie faktów". Dowcip, anegdota, satyra, przypowieść, powiedzonko i piosenka warszawska były wytworem tej szczególnej dyspozycji psychicznej warszawiaków. Z głębokim sentymentem wspomina Buczkowski nie tylko niezwietrzałe dowcipy. Także werwę warszawianek, słownictwo dzieci stolicy, gromady handlarzy ulicznych, malarzy napisów przeciwniemieckiej propagandy, najlepsze kawały „organizacji", z których ryczała cała Warszawa, szumnie obchodzone święta i imieniny, bimber, który się lał strugami, riksze, szmugiel i niezliczone ilości szyberów („szybrowali wszyscy"), śpiewaków ulicznych, gitarzystów w tramwajach i małych chłopaczków z piosenką o żołnierzu, „któren padł w polu i dzieci go żegnają", lub najczęstszą, gminną:

Siekiera, motyka, bimbru szklanka
W nocy nalot, w dzień łapanka.
Piwo, bimber, wino, alasz
Przegrał wojnę głupi malarz.

Jest w tym rozmiłowaniu absolutna przewaga sentymentu nad rozumem, któż bo nie dojrzy potwornej szkody w osuszaniu cystern wódki i kadzi samogonu, w pandemicznym rozpleśnieniu się szabrownictwa i szabrownika, kto nie dojrzy niedorzeczności w zbędnej a kosztownej bufonadzie. „Warszawska młodzież męska — pisze Buczkowski — paradowała w butach, „oficerkach", i w bryczesach, koniecznie w bryczesach! Każdy młodzik wyglądał na podchorążaka, lub jeszcze więcej!... Szwabów krew zalewała. Chwytali takich szczególnie zawzięcie, ale nogi w bryczesach i butach maszerowały wciąż szeroko, rozstawnym krokiem, prowokacyjnie. Bo taki był fason!"

Anegdotę wybrała wytrawna ręka. Dobór ich i gatunek jest różnoraki. Również pod względem politycznego zabarwienia, odzwierciedlają się w nich kierunki polityczne z lat wojny. Chociaż uwielbienie dla Churchilla było regułą, ludowe upodobania dawały wiele miejsca sympatiom dla Rosji i Buczkowski jest wiernym prawdzie kronikarzem humoru politycznego, zamieszczając również anegdoty radzieckie. „Cóż pani tak stanęła jak Hitler pod Stalingradem?" — pyta pasażer, przeciskający się w tłoku w tramwaju. „Wielkie sukcesy pod Stalingradem! Zdobyto dwa pokoje z kuchnią!" — wywoływali sprzedawcy gazet. „Rąbanka staniała! Świeża spod Stalingradu! Komu? Komu?" — słyszano przy straganach z mięsem. Piosenka uliczna na melodię kujawiaczka ulerzała celnie w sedno wydarzeń militarnych:

Czego ty Hitlerze
Wciąż pod Moskwą stoisz?
Czy na Włocha czekasz,
Czy się Ruska boisz?

Na Włocha nie czekam,
Ruska się nie boję.
D... mi przymarzła
Więc pod Moskwą stoję.

Zbiorek Buczkowskiego ma wady i zalety. Jedną z największych jego zalet jest niesfałszowany element folklorystyczny. Istotnie zasługuje na staranne zebranie twórczość ludowa z lat wojennych, póki jeszcze jest żywa i zachowuje się w ludzkiej pamięci.

Józef Sieradzki

Szkoła krytyków

Przepowiednia noworoczna

Piszę w dzień Nowego Roku. Nadzieje i oczekiwania teatralne już opadły, nadziejom literackim grozi rychłe wyczerpanie. Kogokolwiek z wydawców zapytać, jak wiele posiada w tece rękopisów tej wartości, co wydane w roku ubiegłym, jeżeli będzie szczery, odpowie — wymiatam szufladę z ostatnich zaległości. — Czy dorównują wydanym? Nie. — A co będzie dalej? — Idź pan na Krupniczą 22 i pytaj. W Łodzi na Bandurskiego 8. Domy Literatów.

Te dwa pytania w dzień Nowego Roku domagają się troski i odpowiedzi. Dlaczego jest, jak jest i co będzie dalej? Pytanie dlaczego jest, jak jest, daje się zamienić na pytanie dokładniejsze: dlaczego na przestrzeni dwóch minionych lat niepodległości pisarze tak mało napisali książek? Odpowiedź zupełna na to pytanie wymagałaby obszernej i bardzo szczerej rozprawy, a raczej rozrachunku z luminarzami dzisiejszego piśmiennictwa i nie mniej szczerego rozrachunku z istotnymi warunkami pracy pisarza w obecnej rzeczywistości. Wierzę, że kiedy sytuacja rozwinie się tak, jak wszystkie znaki zapowiadają obecnie, do obydwu rozrachunków dojdzie i będą one na pewno gorzkie. Na razie chciałbym wypunktować jeden tylko powód; nie jest on zapewne najważniejszy, ale tak się utrwalił, że poczyna być najgroźniejszym.

Pisarze nie piszą nowych książek, ponieważ najbardziej zapracowani i obciążeni są właśnie ci, którzy — mierząc sprawę na dłuższy dystans — powinni być najmniej obciążeni. Pisarze polscy rozpadają się dzisiaj na dwie kategorie: jedni, a jest ich bodaj większość, to ci, którzy niewiele mają do powiedzenia na temat teraźniejszości i przyszłości. Mogą milczeć, mogą pisać, mogą mieć za złe — ich stanowisko jest całkiem obojętne. Drudzy, a jest ich mniejszość, to ci, którzy nie chcą milczeć, którzy nie mają zamiaru ślepemu biegowi rzeczy pozostawić przyszłości. Ci, co czują swoją odpowiedzialność za losy kultury polskiej, odpowiedzialność na tej wyjątkowej pozycji, na jakiej los ich umieścił. Pisząc „drudzy", nie mam na myśli wyłącznie pisarzy lewicy; obejmuję tym terminem również tych wszystkich pisarzy katolickich, którym podobna troska nie jest obca.

Ci drudzy pisarze są najbardziej obciążeni zadaniami i obowiązkami, które tylko wyłączność sytuacji, w jakiej żyjemy, może usprawiedliwić. Obowiązkami wszakże, których doraźny i nieunikniony charakter, jeśli się utrwali, stanie się niebezpieczny dla samej przyszłości literatury polskiej. Ci pisarze aktywni zasiadają w zarządach, radach, posłują, są ministrami, ambasadorami, działaczami, politykami, redagują, urzędują, przypomina im się wciąż nowe obowiązki społeczne, coraz ktoś wyskoczy z wołaniem: pisarze do świetlic, do fabryk... — a tymczasem. Tymczasem przypominam rozmowę z wydawcą. Tymczasem właśnie ci pisarze aktywni myślowo, zdolni swoją aktywność zużytkować w formach literackich, powinni być odciążeni, jeżeli nie chcemy doprowadzić do tego, że za rok, czy dwa, będziemy mieli dużo ambasadorów, ministrów, redaktorów, naczelników przynależnych do Związku Zawodowego Literatów, ale — nie będziemy mieli książek.

Znam doskonale argumenty, które można mi przeciwstawić. Równie dobrze znam nasze ubóstwo personalne, które jednym i tym samym ludziom każe się dwoić i troić. Wiem, że na godzinach każdego z nas pieczęcią obowiązku leżą nieobecne godziny naszych zmarłych przewodników, nauczycieli i przyjaciół. Któż nie doświadczył tego obcowania zmarłych!

Ale równocześnie głębokim niepokojem napawa myśl o tym, że eksploatujemy siebie w sposób rabunkowy. Niesposób zapomnieć, że rynsztunek intelektualny oraz oczytanie średniego pokolenia literackiego, które dzisiaj przewodzi, nie było naprawdę wysokie. Boya, Parandowskiego, Nowaczyńskiego, pisarzy pełnych wiedzy i wiedzę tę stale odświeżających, nie ma w tej generacji. Przez lata okupacji byliśmy zupełnie odcięci od myśli europejskiej. Czy naprawdę wiele się w tym zmieniło? Nie radziłbym rozpisywać ankiety zapytującej tych pisarzy, ile w ciągu dwóch minionych lat wolności przeczytali dzieł filozoficznych, socjologicznych, historycznych. Zły to bowiem pisarz, co tylko swoich kolegów czyta, jeżeli w ogóle ich czyta. Nie radziłbym zapytać, ile godzin na tydzień mogli poświęcić na pracę nad sobą. O takie sprawy zapytany, pierwszy wolałbym się uchylić od odpowiedzi. Raczej od kompromitacji i zażenowania.

Liczba napisanych książek stoi w prostej proporcji do tych dwóch pytań. I dlatego — chociaż nie wyłącznie dlatego — tych książek nie ma.

Co będzie dalej? Co będzie już za kilka miesięcy?

kjw.

PROPAGANDA I KONCERTY

W ostatnich miesiącach pojawiały się raz po raz artykuły na temat katastrofalnej sytuacji naszego ruchu koncertowego, sytuacji grożącej konsekwencjami tak daleko idącymi, że sprawa ta przestała już interesować tylko szczupłe społecznie grono muzyków, śpiewaków i tancerzy, a stała się zagadnieniem o znaczeniu państwowo-narodowym, jakim musi być wszystko, co jest związane z przyszłością naszej kultury.

Wypowiedzi najbardziej kompetentnych osób, jak: dr. St. Łobaczewskiej w „Odrodzeniu", St. Kisielewskiego w „Tygodniku Powszechnym", J. Broszkiewicza w „Dzienniku Polskim", jak również artykuły podpisanego w „Ruchu Muzycznym" minęły bez rezonansu u czynników tzw. miarodajnych, rezonansu choćby tylko prasowego. Pojawiły się natomiast wzmianki w prasie, nad którymi należy się zastanowić.

„Spodziewam się — powiedział wiceminister Kruczkowski, — że już w najbliższym czasie nasze rozmowy dadzą konkretne wyniki w postaci przyjazdu wybitnych artystów ukraińskich do Polski". Oraz druga równie interesująca: „Minister Sprawiedliwości wraz ze specjalną delegacją Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej bawi w Moskwie, aby nawiązać kontakt z przedstawicielami nauki i sztuki radzieckiej, jako że naród polski za pośrednictwem koncertów pragnie poznać osiągnięcia na polu sztuk" itd., itd.

Rzecz sama w sobie godna najwyższej pochwały. Nikt bardziej niż artyści nie pragnie zbliżenia i wymiany kulturalnej między narodami, nie mówiąc już o aspekcie politycznym. Przyczyni się to do rozwiania pewnych niechęci czy uprzedzeń, jakimi jeszcze do dziś jest zaczadzona część społeczeństwa. Wiemy, jak wysoki jest poziom artystów radzieckich, ale znamy też i przyczyny. Naszą i radziecką rzeczywistość artystyczną zilustruje najlepiej porównanie na przykładach.

Na początku ubiegłego roku powstał jedyny w Polsce zespół symfoniczno-jazzowy, liczący około 30 osób. Podobnych zespołów mają Stany Zjednoczone i Związek Radziecki po kilkanaście, i słusznie, gdyż poza kulturalną rozrywką są one doskonałym sposobem zbliżenia szerokich mas do muzyki. Próby kosztowały pół roku pracy i około 2 miliony złotych. Poziom artystyczny zespołu bardzo wysoki, siły pierwszorzędne, kierownik muzyczny — jedyny w Polsce fachowiec.

Rezultaty: w Katowicach po szeregu koncertów zabrano im (za „niedopłaconą" salę) kotary, z Krakowa ledwo wyjechali, w Łodzi rozbili się kompletnie, gdyż zrobiono im nie mniej ni więcej, tylko taką kalkulację: 30% sala, 30% podatek miejski, 5% PCK, 5% Pomoc Zimowa, 5% odbudowa teatrów, 8% ZAIKS, czyli razem 83% podatków. Jeżeli dodamy do tego jeszcze 10% dla CBK czy też prywatnego impresaria za zajęcie się organizacją oraz powiedzmy tylko 7% na afisze i reklamę, otrzymamy okrągłą cyfrę — 100%.

Dawniej kapitalista zabierał pracownikowi tzw. nadwartość jego pracy — jednakże koszta organizacji koncertu wynosiły wtedy od 30 do 40% wpływów kasowych — resztę brał artysta. Obecnie — jak wykazuje podany przykład — artyści za pracę nie mieli dostać dosłownie nic.

Drugi przykład. Grupa artystów urządza koncert w Warszawie. Organizacją zajmuje się Centralne Biuro Koncertowe (CBK), a więc instytucja półoficjalna. Zespół drukuje własnym kosztem afisze (bo w Warszawie są droższe i gorsze) i wysyła je do Warszawy. Po paru dniach zespół otrzymuje od CBK telegram z prośbą o przesłanie 20 000 zł. (tak!) na organizację koncertu. Nie chcąc tracić już wyłożonych 8 000 zł. zespół zapożycza się dalej i wysyła żądane pieniądze. Efekt finansowy? Z wyłożonych 28 tys. zł. otrzymali, nie licząc kosztów przejazdu i utrzymania w Warszawie (o upojenie!) — 3 700 zł.

Ostatecznie można by się z tego rodzaju koncepcją organizacji koncertów zgodzić, niepokojące jest tylko jedno: co to wszystko ma wspólnego z demokracją?

Poruszone tu sprawy mają jeszcze inny aspekt nawet polityczny. Powiedział M. Niedziałkowski: „żaden nowy ustrój nie zdoła się utrzymać, o ile obniży poziom życia ludzkiego pod względem gospodarczym i kulturalnym".

Jeśli na polu gospodarczym możemy stwierdzić wiele historycznych zdobyczy, jak parcelacja, uruchomienie komunikacji i wielkiego przemysłu, który w wielu gałęziach osiąga, a w niektórych przewyższa potencjał przedwojenny — to nie da się tego niestety powiedzieć o muzyce. Popatrzmy: mamy w Polsce przeszło 560 kinoteatrów i ani jednej sali koncertowej! Na rok 1947 przewidziano budowę 25 nowych i odbudowę 80 starych kin. Słowo „kinofikacja" przyjęło się u nas (pisze Minkiewicz) jako symbol niedołęstwa i upadku produkcji filmowej, przy jednoczesnej pełnej bluffu reklamie. Czy z tych setek milionów złotych, które wyciąga kinofikacja z racji posiadania kilkuset sal w Polsce, nie może iść choć parę milionów na ożywienie ruchu koncertowego? Czy nie da się załatwić sprawy tak prostej, jak przydzielenie Związkowi Muzyków w każdym mieście wojewódzkim jednej sali dotychczas kinowej — tj. ogółem 14 (słownie czternastu) sal? Czy przez to upadnie kinofikacja? Bynajmniej, jedynie nakręci się i spali o jedną krótkometrażówkę mniej, jak to się stało ostatnio z kilkoma pod rząd. A więc wydaje się setki milionów na coś, co sztuką u nas nigdy nie było i nie jest, a równocześnie nie tworzy się podstaw pod rozwój prawdziwej sztuki, dzięki której byliśmy i częściowo nawet obecnie jesteśmy reprezentowani za granicą.

Głosi legenda, że gdy imperium rzymskie było w trudnościach finansowych, mądry doradca podszepnął cesarzowi Klaudiuszowi, aby dla przywrócenia zaufania wewnętrznego kazał pozłocić wszystkie brązowe słupki na bieżni w cyrku. Kosztowało to parę kilogramów złota, a efekt propagandowy był ogromny. Była to pierwsza bodaj w historii nowocześnie pomyślana propaganda.

Jeżeli ktoś, nastawiony powiedzmy negatywnie do Związku Radzieckiego, przyjdzie na balet Mojsiejewa i zobaczy spektakl na najwyższym artystycznym i technicznym poziomie, to nie zdziwię się, jeśli powie, jak pewien znajomy „reakcjonista": „Taka propaganda to więcej niż wygrana wojna". Nie zastanawia się wówczas, że włożono w ten balet setki milionów rubli, wiele lat pracy, że właściwie nie jest to w dosłownym znaczeniu balet, tj. jeden zespół taneczny wykonujący rozmaite tańce, że jest to raczej kilka zespołów tanecznych wykonujących przeważnie jeden taniec (balet liczy ponad 100 osób, na scenie jednorazowo najwyżej czterdzieści), a więc że istnieje tam nawet ścisła specjalizacja, dzięki której osiągnięto ten niezwykle wysoki poziom.

Pokazanie baletu jest więc wspaniałą propagandą dla Rosjan, a równocześnie kontrpropagandą dla nas. Nasi tancerze-artyści przebywający od lat na parkietach lokali dancingowych (widocznie w myśl hasła „sztuka dla mas") słusznie pytają, czy nie można tego stworzyć u nas? Przecież zespolik taneczny, tytułujący się do niedawna szumnie „Reprezentacyjny Balet Polski", nie może być uważany za jakąkolwiek reprezentację naszych możliwości w tańcu.

Polacy byli podstawą wszystkich największych baletów świata. W słynnym balecie Diagilewa nasz wkład osobowy dochodził niejednokrotnie do 50%. Pierwszym solistą tego baletu i następcą genialnego Niżyńskiego był Polak, któremu sam Strawiński poświęca dwie stronice w swoich wspomnieniach. Artysta ten prócz innych talentów obdarzony fenomenalną, wprost fotograficzną pamięcią układów choreograficznych, wyciera razem z innymi parkiety, a gdy wreszcie wyjedzie za granicę, w całej Polsce nie będzie człowieka, który potrafiłby odtworzyć: „Chopinianę", „Pietruszkę", „Jezioro łabędzie", „Ptaka ognistego". Czy o artyście tym wiedzą nasze ministerstwa, czy wiedzą, że poza tym jest on wybitnym pedagogiem, że najlepsze siły dzisiejsze wyszły ze szkoły, którą prowadził w Warszawie podczas okupacji? A jeżeli wiedzą, dlaczego nie wyzyskały go dotychczas?

Jak się „podchodzi" u nas do tych spraw, zilustruje jeszcze casus Niemczyka. Według zgodnej opinii był to jeden z naszych najlepszych skrzypków-wirtuozów. Ponieważ nie miał z czego dokładać do koncertów, handlować nie umiał, dogrywać w knajpach nie chciał, więc poszedł pewnej bezksiężycowej nocy na „zieloną". Nie pierwszy to wypadek, ale oby ostatni.

Niewiele się zmieniło pod tym względem od „starych dobrych sanacyjnych czasów". Przypomnijmy sobie, jak to było z Kiepurą. Duszony na popołudniówkach i gaży trzeciorzędnego śpiewaka, w Wiedniu w 24 godzin staje się jednym z dziesięciu pierwszych śpiewaków w świecie. Czy wyciągnięto z tego jakieś konsekwencje? W rok później był podobny wypadek w Bułgarii. Jakiś nikomu nieznany Dymitrow czy Popow wyrywa się do Wiednia i robi od razu karierę. Minister oświaty (nie było jeszcze wtedy ministerstwa kultury i propagandy) wzywa do siebie dyrektorów opery i konserwatorium i po maleńkiej rozmówce każe im podać się do dymisji. Tak postąpiła Bułgaria. Nie stać jej na stracenie ani jednego człowieka. Nas stać. Nawet po tak ogromnym upływie krwi.

Ludzie powracający z Zachodu pytają, czemu nie przyjeżdżały tam zespoły naszych artystów. Anders obsyłał wszystkie obozy zespołami, w których występowali między innymi artyści z dobrze znanymi nazwiskami: Terné, Lawiński, Krukowski, Tom, Jarossy, teksty — Hemar. W jakim kierunku szła propaganda, nie trzeba chyba wyjaśniać. Czy nie mogliśmy sparaliżować tych działań w myśl zasady „klin klinem"? A sześciomilionowa Polonia amerykańska, która od lat nie widziała polskiego artysty poza paru emigrantami? Dziwimy się później, że wodzą tam prym ludzie Matuszewskiego i Bora.

Rzuciłem razem z A. Polewką myśl tzw. wsi kościuszkowskich, na który to cel Polonia pośpieszyłaby niechybnie z wydatną pomocą. Jak dotychczas, nikt się tym projektem nie zainteresował.

Brak szerzej zakreślonych planów, wyczucia właściwej hierarchii potrzeb, tymczasowość, nieumiejętny dobór ludzi, wszystko to daje znane powszechnie rezultaty.

Artyści szli zawsze w awangardzie społecznej. Przypomnę tzw. „czerwoną kawiarnię" plastyków w Krakowie, skupiającą czołowych malarzy, rzeźbiarzy, literatów, aktorów, śpiewaków. Źle jest, jeżeli właśnie ci ludzie, na których spoczywa oko całego społeczeństwa, nie idą w pierwszym szeregu.

Uważałbym sprawę organizacji koncertów za wytłumaczoną, choć nigdy nie usprawiedliwioną, gdyby nie dało się jej inaczej uregulować, jak tylko wydatkując większe sumy, których państwo może nie mieć, lub przeznaczać je na bardziej palące potrzeby. Lecz właśnie spraw przytoczonych nie trzeba i nawet nie powinno się załatwiać subwencjami, gdyż byłoby to przysłowiowym przylepianiem plasterka na wrzód. Tylko całkowita zmiana dotychczasowego stanu, natychmiastowe przydzielenie Związkowi Muzyków sal koncertowych, strząśnięcie wszystkich obciążeń podatkowych, jakimi są obciążone imprezy kulturalno-muzyczne — może uzdrowić konający ruch koncertowy. W przeciwnym razie zaleje nas fala tandetnej kasowej szmiry „pod publiczkę". Ten typ spektaklu panoszy się coraz bardziej.

Poruszone tu sprawy zahaczają o resorty dwóch ministerstw: Kultury i Sztuki oraz Informacji i Propagandy. Mam wrażenie, że rozdzielono niezbyt szczęśliwie pokrewne i wzajemnie zazębiające się kompetencje. Czesi, nie głupszy od nas naród i nie gorsi gospodarze, mają jedno ministerstwo kultury i informacji, wychodząc pewnie ze słusznego założenia, że sztuka mieści się w ogólnym pojęciu kultury, a propaganda w informacji o kulturalnych i gospodarczych osiągnięciach.

Przy zmianach i reorganizacjach, jakie na pewno nastąpią po wyborach, należałoby to również wziąć pod uwagę.

Piotr Kruszewski

Życie w USA

Nowy Jork, w grudniu 1946 r.

SPRAWA WĘGLA

Trzeci w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy wielki strajk, tym razem znów strajk górników (pierwszy był strajk górników, drugi robotników portowych), jest najważniejszym wydarzeniem w Stanach, a zajmującym główne miejsce na szpaltach gazet. Skutki jego są olbrzymie, zarówno w kraju, gdzie już w pierwszym tygodniu strajku produkcja stali np. wykazała gwałtowny spadek, jak i za granicą, gdzie odbudowa gospodarki takich państw jak Francja, Włochy, Dania czy Wielka Brytania zależy w dużym stopniu od amerykańskich dostaw. Strajk ten, dając brytyjskim i szwedzkim socjalistom oraz francuskim i włoskim komunistom silny argument w ich dążeniach do oderwania Europy od amerykańskiego gospodarczego systemu, ma również następstwa polityczne.

Jakie elementy wchodziły w grę w tym strajku?

1) Osoba Lewisa, przywódcy jednego z największych związków robotniczych — United Mine Workers. Lewis jest graczem dużej miary, bardzo awanturniczym i raczej niepopularnym wśród robotniczych działaczy Ameryki, ale górnicy słuchają go ślepo i na jego rozkaz opuścili kopalnie. Trzeba wspomnieć, że, jak wykazały dochodzenia w sprawie wpływów hitlerowskich w Stanach Zjednoczonych, Lewis był człowiekiem, po którym rząd niemiecki wiele się spodziewał; przesadzając zresztą jego wpływy, przypuszczał, że Lewis należy do tych, którzy mogą zapobiec przystąpieniu Stanów do wojny. Materiały te zostały zatuszowane, gdyż kompromitowały zbyt wiele znanych osobistości, jednak cień na Lewisie został. Gra, którą obecnie prowadzi Lewis, jest ryzykowna. Ubiegłej wiosny, wskutek przeciągającego się strajku górników węglowych, rząd nominalnie przejął pod swój zarząd kopalnie, chcąc w ten sposób wywrzeć presję na górników; drogą rokowań doszło do zawarcia kontraktu między rządem i United Mine Workers. Obecnie górnicy opuścili kopalnie, będące nominalnie pod zarządem państwowym, co dało powód do wytoczenia sprawy sądowej przeciwko Lewisowi o tzw. contempt (ustawodawstwo z czasu wojny zabrania takich strajków).

2) Celem Lewisa było stoczenie bitwy z właścicielami kopalń przed zebraniem się nowego Kongresu, tzn. przed 1 stycznia. Ten nowy Kongres będzie republikański i prawdopodobnie przystąpi natychmiast do przeprowadzenia ustaw utrudniających robotnikom strajki.

3) Celem Lewisa jest rozprawa z rywalami w ruchu robotniczym. C. I. O. bynajmniej nie darzy Lewisa sympatią. Był on jednym z założycieli C. I. O., skąd znowu później z trzaskiem wystąpił. Obecnie United Mine Workers należą do American Federation of Labor. Prowadząc ten strajk, Lewis szachuje C. I. O., które, chcąc nie chcąc, dla przyzwoitości musi ten wielki strajk robotniczy popierać. W ten sposób przywódcy C. I. O., stale oskarżający American Federation of Labor o kunktatorstwo, są przelicytowani. Trzeba dodać, że C. I. O. i A. F. L. to nie są skromne, małe stowarzyszenia. Grupują one miliony członków i wpływ ich na życie amerykańskie nie ustępuje wpływowi baronów przemysłu.

3) Czego żądają Lewis i United Mine Workers? Żądają skrócenia tygodnia pracy, przy utrzymaniu wynagrodzeń za pracę na tym samym mniej więcej poziomie. Górnik pracujący 54 godziny na tydzień zarabia 75 dolarów 25 centów tygodniowo. Większość jednak górników pracuje przeciętnie 41 godzin na tydzień, otrzymując 61 dolarów tygodniowo. Lewis żąda pięciodniowego tygodnia pracy przy 45 godzinach w ciągu 5 dni i 64 dolarów do kieszeni robotnika co tydzień. Poza tym żąda uznania klauzuli zawartej w kontrakcie o przyjęciu sztygarów do związku, co właściciele kopalń usiłują omijać. Dalsze żądania dotyczą podniesienia opłaty na fundusz zdrowia i pomocy związku górników z 5 centów od tony wydobytego węgla na 10 centów od tony.

Jak widać, nie było tu mowy o strajku głodowym. Jest to strajk taktyczny. Zarobki górnika w przeliczeniu na waluty europejskie okazałyby się bajońskimi sumami. W porównaniu z cenami utrzymania w Stanach są skromne. Jest tu wielka rozpiętość między kosztami życia w wielkich miastach i na prowincji. W małych mastach górniczych płace są wystarczające. Chodzi więc raczej o pięciodniowy tydzień pracy.

4) Taktyka Lewisa. Prawnicy United Mine Workers piętrzyli trudności w procesie wytoczonym Lewisowi. Przez ten czas Lewis trzymał nóż na gardle właścicieli kopalń i fabryk, którzy ponieśli ogromne straty. Zamierza on rozbić jedność front przeciwników i wyszukać tych właścicieli przemysłu, którzy są przez strajk szczególnie bici i wykazują dzięki temu skłonności do ugody. Zawarłszy z nimi poszczególne kontrakty, usuwa konieczność mieszania się rządu i skłania pozostałych właścicieli do pertraktacji ze związkiem. Podobno toczą się już ciche rokowania z przemysłem stalowym, który ma własne kopalnie węgla. Każdy dzień przynosi nowe wydarzenia, jednak i przedstawienie mechanizmu tego strajku w obecnej jego fazie może być interesujące dla polskiego czytelnika. W chwili, kiedy ten artykuł wysyłam, sąd ukarał związek górników grzywną 3½ miliona dolarów. Założono apelację.

NASTROJE W STANACH

Gwiazdka 1946 przynosi Amerykanom nadzieje i obawy. Nadzieje: że praca Narodów Zjednoczonych wejdzie jednak na pozytywne tory i że wiele instytucyj międzynarodowych stworzy „New Deal dla świata". Obawy: że nie da się uniknąć depresji gospodarczej w Stanach.

Jednak te nastroje dalekie są od wizji bliskich starć z innymi państwami i jest to gwiazdka całkowicie już pokojowa. Korespondenci amerykańscy z Polski donoszą z dużą dozą zdumienia, że znaczna liczba Polaków przewiduje rychły wybuch wojny między Stanami i Rosją. Korespondenci przypisują ten stan umysłów brakowi informacji o polityce międzynarodowej i odpowiedzialnością za to obciążają polską prasę, która ich zdaniem tendencyjnie przedstawia wydarzenia w polityce światowej i wyolbrzymia spory między wielkimi mocarstwami.

SPRAWA OKUPACJI

Prasa amerykańska poświęca wiele miejsca jednemu z trudniejszych zadań, jakie przypadły Stanom w wyniku ich udziału w wojnie. Jest to konieczność utrzymywania wojsk

okupacyjnych w Niemczech i Japonii. Dłuższy pobyt armii w podbitym kraju rozkłada tę armię i całkowicie niweczy jej wartość. Przytacza się przy tym przykłady od Rzymian do Niemców we Francji w czasie drugiej wojny światowej.

Wielką burzę wywołał raport George'a Meadera, który z ramienia senatorskiego komitetu bawił w Niemczech. Raportowi temu nie „nadano biegu urzędowego", gdyż demokraci, stanowiący w komitecie większość, przegłosowali republikanów, bardzo chętnych do wywlekania skandalów, które mogą ugodzić w demokratyczną administrację. Treść jednak raportu przeniknęła do prasy, co dało powód do gwałtownej wymiany zdań pomiędzy przeciwnikami i zwolennikami poglądów Meadera.

Najbardziej burzliwie przyjęto twierdzenia Meadera:

1) Że armia amerykańska jest zdemoralizowana z powodu „fraternizacji" z niemieckimi dziewczętami, które wskutek wychowania hitlerowskiego odznaczają się zupełnym brakiem moralności i gotowe są do wszelkich usług za paczkę papierosów.

2) Że procent zachorowań wenerycznych wśród wojska wynosi 350 na 1000, a w wojskach murzyńskich 1045 na 1000, co stanowi więcej niż jedną chorobę na każdego żołnierza.

3) Że exodus Żydów z Europy środkowo-wschodniej do strefy amerykańskiej jest uplanowany i zorganizowany celem wywierania presji na Wielką Brytanię w Palestynie.

4) Że obozy Displaced Persons (uchodźców) są zbiorowiskami ludzi całkowicie zdemoralizowanych.

5) Że zaraza czarnego rynku rozszerza się na oficerów i żołnierzy armii okupacyjnej.

6) Że zachowanie się żołnierzy murzyńskich jest poniżej krytyki.

Nie wnikając w to, o ile poszczególne z tych twierdzeń są słuszne, można jednak zauważyć, że dają one pewne pojęcie o tej kwadraturze koła, jaką jest długotrwała okupacja jakiegoś kraju. Amerykanie w tych kłopotach nie są osamotnieni. Mogą pocieszać się tym, że takie same kłopoty miewali już i Rzymianie.

Jan M. Nowak

PRZEGLĄD PRASY

P. Jasienica ogłosił w „Tygodniku Powszechnym" obszerne uwagi, polemizując z niektórymi tezami książki **Jerzego Kirchmayera** o kampanii wrześniowej. Artykuł jest arcydziełem obłudy i niedomówień, a zarazem niesłusznych pretensyj i fałszywych ocen. Ponieważ ów artykuł Jasienicy mógłby się również przyczynić do utrwalenia i tak już dość rozpowszechnionych mylnych poglądów — dobrze się stało, że poddany został przez **Ryszarda Matuszewskiego** gruntownej analizie na łamach „Polski Zbrojnej" i „Kuźnicy".

Przedarłszy się przez okopy i zasieki, którymi p. Jasienica obwarował swe główne pozycje, Matuszewski nicuje po kolei tezy polityczne Jasienicy. Polegają one na przeczeniu, jakoby katastrofa wojskowa nastąpiła już przed dniem 17 września — i równoczesnym udowadnianiu jej nieuchronności politycznej, a w pewnym sensie i militarnej. Tę zabawnie spreparowaną niekonsekwencję Jasienicy — skądinąd bardzo konsekwentnie obliczoną na impulsy i irracjonalne myślenie prawego odłamu społeczeństwa — skarciłem już w „Odrodzeniu"; sprawa wymagała jednak dłuższego i zasadniczego ujęcia.

Kontrowersję Jasienica - Kirchmayer wiąże Matuszewski z faktem, że obaj autorowie zajmują stanowiska „na przeciwnych biegunach myśli politycznej". Jasienica zaciekle zwalcza pewniki, wynikające z książki Kirchmayera, ponieważ boi się ich politycznych konsekwencyj. Dlatego wbrew oczywistości naciąga fakty do przydatnej dla siebie koncepcji, a równocześnie, jeśli mu to dogodne, walczy z przeciwnikami urojonymi, by do reszty zamącić jasny (niestety) obraz. Matuszewski powiada bardzo słusznie: „Nie cenimy literatury *narodowej krzepy*, fałszującej dziejowy obraz tego, co było, ani publicystyki dodającej ducha społeczeństwu przez negację jego błędów i gloryfikację własnej klęski". Warto by w tej sprawie porównać głosy polskie z głosami publicystyki francuskiej na temat klęski Francji w 1940 r., równie totalnej jak nasza. Nie znam bliżej tych głosów, ale wiem jedno: najbardziej nawet niechętni Włochom krytycy nie posługują się twierdzeniem, jakoby to dopiero Mussolini „wbił nóż w plecy" armii francuskiej, która w innym wypadku, pod wodzą genialnego Weyganda, przepędziłaby Hitlera co najmniej z powrotem za Ren. Mimo przyczyn zgoła różnych — wynik dla Polski i Francji był identyczny. Czy stał się katastrofą? Nie — pod jednym warunkiem: „Trzeba wyciągnąć wnioski z doświadczeń klęski wrześniowej i na tej podstawie zorganizować nową Polskę" (Kirchmayer). — „Obawiam się, że ci, którzy tak myślą jak p. Jasienica, nie umieją lub nie chcą wyciągnąć tych wniosków" (Matuszewski).

Podobnym zagadnieniom poświęciły miejsce „Problemy", miesięcznik szczególnie żywo i dobrze redagowany, zasługujący na częstsze, niż się to dzieje dotychczas, omawianie, zwłaszcza w prasie codziennej (potrafiły bowiem „Problemy" wyrobić sobie własne oblicze — rzecz mniej częsta w czasopiśmiennictwie, niżby się na pierwszy rzut oka mogło wydawać). Na czoło 7 zeszytu „Problemów" wysunęła redakcja refleksje **Aleksandra Bocheńskiego** „Zagadnienie realizmu i patriotyzmu w polityce". Konkluzja autora jest bezsporna: „w parze z kultem bohaterstwa musi iść kult rozumu". Pełna temperamentu argumentacja autora bezkompromisowo potępia ideologię powstań i walki zbrojnej. Przytacza wymowne przykłady, które uwypuklają szkody, wynikające z tego rodzaju akcji — niedostatecznie jednak uwzględniają korzyści (przede wszystkim natury społecznej). W każdym razie jest to studium, które powinno wywołać żywą dyskusję.

Jakże jednak u nas trudno o pełną konsekwencję w tych sprawach! Bocheński występuje w „Problemach" jako zdecydowany, ba, skrajny realista, a gdy przychodzi mu sprawdzić praktycznie swą teorię, cofa się, ugina, polemizuje (w „Tygodniku Powszechnym") właśnie z tymi, którzy o politycznej stronie Monte Cassino czy Warszawy wyrażają się bez czołobitnego szacunku. „Powstanie (warszawskie) nie było konieczne, ale być musiało" — te słowa jednego z młodzieńców, biorących udział w znanej dyskusji „Młodej Rzeczypospolitej" o romantyzmie polskim — demonstrują nie tylko istotę błędnego myślenia politycznego: zdradzają one sedno poglądów wielu rzekomych realistów — ukryte pod ochronnym nalotem.

Na koniec chciałbym zwrócić uwagę na ukazujące się w „Kuźnicy" studium o Boyu, **Andrzeja Stawara**; podbudowane szeroko analizą kulturalną i społeczną studium Stawara zapowiada się jako pierwsza monografia godna tak wybitnego zjawiska artystycznego i społecznego, jakim był Tadeusz Żeleński. Bardzo interesujący był również szkic **Wacława Borowego** „Ksiądz Baka", zamieszczony w świątecznym numerze „Tygodnika Powszechnego". Borowy dopiero co odbrązowił „Gody życia" („Twórczość", zeszyt 11), w sposób wyjątkowo jak na tego rodzaju zadania dosadny a przekonywający. Pisząc o Bace zajął stanowisko wręcz odmienne: jako trzeci po Kraszewskim i Pawlikowskiej przywraca Bakę poezji polskiej chyba ostatecznie. Borowy wykazuje, że zwłaszcza jako autor „Uwag rzeczy ostatecznych" zasługuje Baka na uwagę nie tylko historyków kultury.

jaszcz

KUPON
UPRAWNIAJĄCY DO UCZESTNICZENIA
W PIERWSZYM
KONKURSIE LITERACKIM
»ODRODZENIA«

TYDZIEN BIBLIOGRAFICZNY

NAUKI SPOŁECZNE

Książki dla Wszystkich. Seria Humanistyczna. Naczelne Idee Polski. **Prof. Dr. Bogdan Suchodolski.** Polskie tradycje demokratyczne. Idea demokracji w ujęciu myślicieli polskich od St. Staszica do St. Witkiewicza. Okładkę projektował **Wł. Stańczykowski.** Wrocław, M. Arct, 1946; str. 181 i 3 nl. — 240 zł.

HISTORIA

Historia Polski i powszechna w krótkim zarysie. Zeszyt 2. Polska dzielnicowa i odbudowa Królestwa Polskiego, miasta średniowieczne. (Wiek XII—XIV). Opracował **B. Włodarski.** Toruń, Księgarnia Naukowa: T. Szczęsny i Ska, 1946; str. 31 i 1 nl. — 30 zł. — Zeszyt 6. Epoka Oświecenia, rozbiory Polski i Rewolucja Francuska. (Wiek XVIII). Opracował **Dr T. Ladenberger.** Tamże; str. 33 i 3 nl. — 40 zł. — Zeszyt 10. Rewolucja 1905 r. Pierwsza wojna światowa 1914—1918. Sprawa polska w latach 1905—1918. Opracował **Dr A. Przyboś.** Tamże; str. 28 i 4 nl. — 40 zł.

Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego. Prace naukowo-informacyjne. Seria: Pomorze. **Karol Maleczyński.** Polska i Pomorze Zachodnie w walce z Niemcami w wieku XIV i XV. Gdańsk, 1946; str. VI i 117 i 3 nl.

GEOGRAFIA

Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego. Prace kartograficzne. **Tadeusz Mieczyński.** Gleby byłego terytorium Gdańska. Z barwną mapą w skali 1:250 000. Gdańsk, 1946; str. 2 nl i 24 i 1 mapa.

PODRĘCZNIKI SZKOLNE

Zenon Klemensiewicz. Język polski. Wybór wiadomości o znaczeniu i użyciu form językowych oraz o gwarach ludowych. Dla IV kl. gimnazjalnej. Wrocław, Książnica-Atlas, 1946; str. 95 i 1 nl. — 100 zł.

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY

Juliusz Verne. 20 000 mil podmorskiej żeglugi, z 19 ilustracjami i okładką de **Neuville'a.** Wydanie nowe. Warszawa, B. Matuszewski, (1946); str. 335 i 3 nl. — 420 zł.

POEZJA

Michał Maksymilian Borwicz. Ze śmiercią na ty. Z głosami **St. Dobrowolskiego i Lucjana Motyki.** Okładkę projektowała **M. Hiszpańska.** Warszawa, „Wiedza", 1946; str. 80 i 2 nl. — 100 zł.

PROZA LITERACKA

Max Brand. Pogromca. Powieść. Przekład z angielskiego **Janiny Sujkowskiej.** Tytuł oryginału „The gun tamer". Wydanie nowe. Warszawa, B. Matuszewski, (1946); str. 296. — 300 zł.

Max Brand. Dolina szczęścia. Powieść. Przekład z angielskiego **Stefanii Heymanowej.** Tytuł oryginału „Happy valey". Wydanie nowe. Warszawa, B. Matuszewski, (1946); str. 340. — 320 zł.

Jan Brzoza. Dzieci. Powieść. Wydanie trzecie. Katowice, „Mewa", 1946; str. 217 i 3 nl. — 250 zł.

Jan Dobraczyński. Najeźdźcy. Tom pierwszy. Warszawa, Oficyna Księgarska, 1946; str. 447 i 1 nl. — 350 zł.

Jack London. Wyga. (Kurzawa bellew). Tłumaczył z angielskiego **Jerzy Bandrowski.** Okładka projektu **Z. Kosmowskiego.** Warszawa, B. Matuszewski, 1946; str. 206 i 2 nl. — 280 zł.

Kornel Makuszyński. Bezgrzeszne lata. Wydanie nowe. Okładka projektu art. graf. **Z. Kosmowskiego.** Portret rysował art. mal. **Józef Wodyński.** Warszawa, B. Matuszewski, 1946; str. 198 i 2 nl i 1 portret. — 350 zł.

Maria Rodziewiczówna. Lato leśnych ludzi. Powieść. Wydanie nowe. Okładkę projektował art. mal. **A. Krakowski.** Poznań, Zdzisław Gustowski, 1946; str. 195 i 1 nl. — 350 zł.

Maria Rodziewiczówna. Straszny dziadunio. Powieść. Wydanie nowe. Okładkę projektował **Al. Krakowski.** Poznań, Zdzisław Gustowski, 1946; str. 181 i 3 nl. — 270 zł.

Jerzy Seweryn. Barbaro, kłamiesz. Powieść drukowana w odcinku pisma codziennego „Express Wieczorny" (Warszawa). Okładkę projektował **M. Słomczyński.** Warszawa, „Express Wieczorny", 1946; str. 174 i 2 nl. — 150 zł.

Jan Wiktor. Skrzydlaty mnich. Wrocław, Książnica-Atlas, 1947; str. 355 i 1 nl. — 360 zł.

Stanisław Zakrzewski. Cyklon. Powieść. Okładkę projektował art. grafik **Z. Kosmowski.** Warszawa, B. Matuszewski, 1946; str. 205 i 3 nl. — 260 zł.

MONOGRAFIE

Czasy — Ludzie — Idee. **John Stuart Mill.** Autobiografia. Przekład, wstęp i uwagi **Mieczysława Szerera.** Okładkę projektował **A. Bowberski.** Warszawa, „Wiedza", 1946; str. 206 i 2 nl. — 200 zł.

Adam Próchnik. (Henryk Swoboda). Ignacy Daszyński. Życie — praca — walka. Okładkę projektował **J. Słomczyński.** Warszawa, „Wiedza", 1946; str. 91 i 1 nl. — 150 zł.

W dalszym dorobku naszego działu wydawnictw naukowych ukazały się następujące dzieła:

INŻ. Z. PIEKARSKI
MIERNICTWO
zeszyt I, cena zł. 70.-
(10 zeszytów 400 rycin)

INŻ. W. FRIEDRICH
Wyrôbka leśna i jej zasady
zeszyt I, cena zł. 70.-
(10 zeszytów 304 ryciny)

DR. AL. POLEK
PORADNIK DLA WSZYSTKICH
(Choroby zakaźne)
cena zł. 60.-
(10 zeszytów 50 rycin)

Papier bezdrzewny
Zamówienia na komplety powyższych dzieł przyjmują wszystkie księgarnie

INSTYTUT WYDAWNICZY „GŁOB"
J. Chodorowicza
Kraków, Szymanowskiego 8. 17

KORESPONDENCJA

W SPRAWIE „KOMEDIANTÓW"

Do redaktora „Odrodzenia"

W „Kronice filmowej" („Odrodzenie", nr 108—109) skrytykował p. Marian Promiński film francuski reżyserii Marcela Carné „Ulica złoczyńców". Ponieważ żadną miarą nie zgadzam się z tą krytyką, która polega na nieznajomości założeń omawianego filmu, jego historycznego tła, podaję kilka wyjaśnień i kilka słów obrony. Film uważam za jedno z najlepszych dzieł kinematografii powojennej.

Film „Ulica złoczyńców" jest pierwszą częścią filmu pt. „Komedianci" (tytuł francuski „Les enfants du paradis") drugą część stanowi „Romans pajaca". Film ten nakręcany był jeszcze w czasie okupacji, skończony dopiero po wojnie. Powiedzenie Garance, kiedy po wyjaśnieniu sprawy kradzieży zegarka policjant nie aresztuje jej — „a to dobrze, bo ponad wszystko kocham wolność" — jest może właśnie aluzją do sytuacji okupacyjnej we Francji.

W filmie tym występuje kilka postaci historycznych. Pierwsza i może najważniejsza — Baptysta, to nie „aktorzyna-pierrot", jak go nazywa p. Promiński, lecz Charles Deburau, słynny mimik francuski, który wraz z ojcem swoim Gaspard Deburau pierwszy stworzył w teatrzyku „Linoskoczków" („Funambules") postać pierrota. Nie jest to więc „oklepany temat Pierrota i Colombiny", jak pisze p. Promiński, ale jego prototyp, genialnie odtworzony przez Jean Louis Barrault. P. Promiński krytykuje „czysto teatralne ujęcie roli" — takie właśnie ma ono być, a zarzut wynikający z niezrozumienia postaci jest pochwałą gry Barraulta.

Drugą postacią historyczną jest aktor Fryderyk, którego p. Promiński określa mianem „bonvivanta". Jest to jeden z największych aktorów dramatycznych Francji XIX wieku — Frederick Lemaitre, który po przybyciu z Havru do Paryża zaczynał swoją karierę, właśnie na „Boulevard du Crime", w popularnym teatrzyku „Funambules".

Postacią również wziętą z życia jest Lacenaire, awanturnik, rzezimieszek. Co do historycznego ujęcia tej postaci można by mieć najwięcej zastrzeżeń.

Aktorka Arletty gra Garance. La Garance to po polsku marzanna, marzanna farbiarska: z kłącza tej rośliny otrzymuje się barwik czerwony jak krew. Z czterech miłości ku Garance, które widzimy w tym filmie, żadna nie kończy się szczęśliwie; roślina ta truje — Garance niesie nieszczęście i śmierć. Arletty to jedna z najpiękniejszych aktorek francuskich. Dlaczego jej piękne ciało porównuje p. Promiński do „combru cielęcego" — rzecz zupełnie niezrozumiała.

Scenariusz do tego filmu napisał Jacques Prévert, ten sam, który był autorem scenariusza „Ludzi za mgłą", reżyserowanego również przez Marcela Carné. P. Promiński pisze: „Scenariusz, jakby go rzeczywiście napisał dziadzio Wiktor Hugo, pełen łatwego sentymentalizmu..." Ta krytyka znaczy tyleż, co najwyższa pochwała, jeżeli pisany dzisiaj scenariusz filmu historycznego, jakim są „Komedianci", można przypisać autorowi współczesnemu akcji filmu! Prévert nigdy pewnie nie przypuszczał, że spotka go takie porównanie, taka pochwała — i to jeszcze w recenzji „zjeżdżającej" film. Co do „łatwego sentymentalizmu" — takie to już były czasy sentymentalne. Autorom filmu chodziło właśnie o to, aby oddać klimat czasu.

Co do zdjęć — to rzeczywiście są one znacznie przyćmione. Było to również zamiarem reżysera. Są to jedne z najtrudniejszych zdjęć. Tymi właśnie „przyćmionymi" zdjęciami, jak je nazywa p. Promiński, zachwyciła się francuska publiczność — te właśnie zdjęcia w nocy, w blasku księżyca, w rannych mgłach oklaskiwano na premierze filmu w Paryżu.

W porównaniu z filmami angielskimi spod dyktatury p. Ranka, czy amerykańskimi w rodzaju „Jessy James" — jedynie jeszcze w filmie francuskim — w takich reżyserach jak Marcel Carné, René Clément możemy pokładać nadzieję.

Na koniec jeszcze uwaga: nie mówi się pantomina tylko pantomima, błąd ten popełnia zresztą nie tylko p. Promiński, ale i tłumacz francuskiego tekstu na język polski na filmie.

Zbigniew Danielak (Kraków)

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta »Odrodzenia«

Władysław Witwicki: Wydaję obecnie:
1. Nowe wydanie dwutomowego podręcznika „Psychologii dla szkół wyższych" (Ossolineum); 2. „Przechadzki ateńskie" („Czytelnik").
Pracuję nad „Wiadomościami z psychologii dla nieprzygotowanych" (na zamówienie „Czytelnika").
Moje plany wydawnicze idą w kierunku znalezienia nakładcy na książki napisane w czasie wojny:
1. Platona, „Państwo", przekład, wstęp, komentarz, ilustracje.
2. Platona „Eutydemos", przekład, wstęp, komentarz, ilustracje.
3. Platona, „Sofista", przekład, wstęp, komentarz, ilustracje.
4. Platona, „Polityk", przekład, wstęp, komentarz, ilustracje.
5. Platona, „Parmenides", przekład, wstęp, komentarz, ilustracje.
6. Platona, „Timaios", przekład, wstęp, komentarz, ilustracje.
7. Platona, „Kritias", przekład, wstęp, komentarz, ilustracje.
8. Platona, „Prawa" 7 ksiąg, przekład, wstęp, komentarz, ilustracje.
9. Lukiana z Samosaty dialogi wybrane, przekład, wstęp, komentarz (częściowo drukowane w „Meandrze").
10. Ewangelia według Mateusza z oryginału greckiego, z komentarzem i z ilustracjami.
11. Ewangelia według Marka z oryginału greckiego.
12. „Wiara oświeconych", polski oryginał pracy wydanej tylko w przekładzie francuskim, w 1939 r. pt. „La Foi des Eclairés".
13. „Perspektywa malarska. Podręcznik przystępny". Około 300 ilustracyj.
14. „Anatomia plastyczna ciała ludzkiego. Podręcznik przystępny". Około 300 ilustracyj.
15. Homera „Iliady" księga XXII. Przekład.
16. „Pogadanki obyczajowe".
17. „Platon jako pedagog".

*) Por. odpowiedzi w nr nr 68—92 i 94—95 i 105—107 i 110 „Odrodzenia".

HIROSHIMA

31 sierpnia magazyn nowojorski „The New Yorker", poświęcił cały numer reportażowi Johna Herseya „Hiroshima".

Jest to opowiadanie o sześciu ludziach, którzy w dniu zrzucenia pierwszej bomby atomowej znajdowali się w Hiroshimie, przeżyli atak i jego skutki, i przez usta Herseya złożyli raport z tego, co się stało. Przez parę dni w całych Stanach Zjednoczonych opowiadano sobie o losach urzędniczki zakładów cynkowych, doktora z prywatnej kliniki, wdowy po zaginionym krawcu, młodego chirurga i pastora kościoła metodystów. Cały nakład „New Yorkera" został prawie natychmiast wyprzedany. American Broadcasting Company, największy łańcuch stacji radiowych w USA, odwołał wszystkie wieczorne audycje i przez cztery z kolei wieczory transmitował opowiadanie Herseya. Albert Einstein zażądał tysiąca egzemplarzy, gazety od Bostonu do Kalifornii i od Montrealu do Panamy prosiły o prawa przedruku; tekst „Hiroshimy" został już przetłumaczony na francuski, szwedzki, chiński, holenderski, duński i hiszpański dla Południowej Ameryki. Reportaż ten został obecnie wydany w nakładzie książkowym.

Dla ludzi Ameryki zagadnienie energii atomowej sprowadzało się dotychczas do matematycznych formułek, których nikt nie rozumie, ostrzeżeń uczonych, których nikt nie brał na serio i fotografii panny Lizy Meitner, uchodźczyni z Niemiec, która ma sześćdziesiąt parę lat i nigdy nie wyszła za mąż. Opowiadanie Herseya zmieniło wykresy i karty fizyczne w problem ludzki: młodej panny Sasaki, doktora Fujii, pastora Tanimoto i paru innych osób, które nie będąc podmiotem, ale przedmiotem historii, stały się ofiarami znanych historycznych wypadków.

Ludzie w Ameryce zrozumieli nagle, że to, co się zdarzyło w Hiroshimie, może się zdarzyć także w Stanach. Ludzie w Anglii zdali sobie sprawę, że małe brytyjskie wyspy mogą się zapaść pod uderzeniem atomowego blitzu. I dla wielu zagadnienie Wallace contra Byrnes przestało być zagadnieniem teoretycznej polityki.

Opowiadanie Herseya nie jest ani pro, ani antyjapońskie. Porusza ono zagadnienia polityczne o tyle tylko, o ile poruszają je świadkowie jego reportażu. Jako sumienny kronikarz, John Hersey uczciwie spisał dzieje największej eksplozji w historii naszego świata. 78 150 zabitych, 37 425 rannych i 13 983 ludzi, których prochy stopiły się w cieple dochodzącym do 6 000° C.

Hiroshima poruszyła w Ameryce setki tysięcy ludzi. Problem uregulowania energii atomowej w skali światowej stał się sprawą ważniejszą od wszystkich innych międzynarodowych zagadnień. Znakomity krytyk amerykański Charles Poor pisze: „Cokolwiek powiedziałoby się o tej książce, nie może się równać z tym, co ta książka ma do powiedzenia".

Wiktor Raysman

WŚRÓD KSIĄŻEK

Pamiętnik Instytutu Śląskiego. Seria II. I. **Józef Feldman.** Problem polsko-niemiecki w dziejach. Katowice, 1946; str. 174 i 2 nl.

Profesor Józef Feldman zajmował się tym zagadnieniem od przeszło 20 lat i gromadził do niego obszerny materiał w wielu drobnych pracach i przyczynkach. W 1934 r. ogłosił szkic syntetyczny pt. „Antagonizm polsko-niemiecki w dziejach". W 1938 wyszła obszerna jego praca pt. „Bismarck a Polska". Obecnie otrzymaliśmy wyczerpujące omówienie całego problemu.

Feldman uważa słusznie, że od tego zagadnienia zawisłe było kształtowanie się spraw środkowej i wschodniej Europy w przeciągu niemal tysiąclecia. Problemem zasadniczym, który wyłaniał się w chwilach najsilniejszego napięcia antagonizmu polsko-niemieckiego, była niepodległość państwa polskiego. Ciągłość ujawniała się również w sprawach terytorialnych, zwłaszcza w walce o ujście Wisły. Bez przerwy trwała też zakorzeniona antypatia, której wyraz dawały zarówno masy jak wybitniejsi przedstawiciele obu narodów. Prof. Feldman przedstawia powody tego antagonizmu, które z biegiem czasu nabierały coraz wyraźniej zabarwienia narodowego. Zasadnicza sprzeczność interesów terytorialnych najsilniej ten antagonizm podsycała.

Wybitny znawca tego zagadnienia przedstawia rozwój metod walki Prus przeciw Polsce i wzrost zrozumienia w Polsce wagi tego problemu w początkach XIX w. Próby przymierza, które pojawiały się od czasu do czasu w związku ze sporem z Rosją o ziemie litewsko-ruskie, podejmowane były zawsze przez znikomą tylko mniejszość społeczeństwa, wbrew woli ogółu, który instynktownie wyczuwał, że ostatecznym celem Niemiec jest całkowita zagłada Polski. Ten cel ujawnił się brutalnie w czasie minionej wojny światowej, kiedy hitlerowskie Niemcy mogły zastosować metody tępicielskie na tak rozległej przestrzeni, jak nigdy przedtem w ciągu tysiącletnich zmagań. Feldman poświęca latom wojny wiele uwagi i przytacza liczne wypowiedzi przywódców hitleryzmu, w jaki sposób należy wytępić całkowicie Polaków. Z uczuciem uznania i podziwu mówi Feldman o bohaterskiej postawie całego narodu w walce z wrogiem.

Z jasnego i przekonywającego wywodu prof. Feldmana wynika niezbicie, że walka dwóch sąsiadujących ze sobą narodów nie jest jeszcze skończona i należy się spodziewać nowych prób odebrania nam nie tylko Ziem Odzyskanych, ale nawet praw do życia. Stąd wniosek: należy oprzeć naszą politykę zagraniczną na nowych podstawach i uświadomić sobie jasno hierarchię naszych zadań w skali ogólnopaństwowej. Praca prof. Feldmana może odegrać ważną rolę w tej koniecznej przebudowie politycznego myślenia całego społeczeństwa.

Stefan Papée

„UCZEŃ DIABŁA" SHAWA W WARSZAWIE

Sztuka Shawa „Uczeń diabła", która grana była z powodzeniem w Łodzi, obecnie została wystawiona na jednej ze scen Miejskich Teatrów Dramatycznych w Warszawie. Główne role odtwarzają DAMIĘCKI (na zdjęciu w środku) i IRENA GÓRSKA

C'EST INCROYABLE

Bardzo lubię, kiedy poprawiają moje gaffy. Po pierwsze, cenię wiedzę i zawsze się czegoś nowego nauczę, a po drugie, jest często niezmiernie ciekawe, co i kogo oburza. Kiedy kazałem Bohunowi posiekać w pojedynku Wołodyjowskiego, „Przekrój" otrzymał ponad tysiąc listów z wyjaśnieniami. „Szpilki" — kilkaset, piętnaście dzienników poświęciło tej sprawie dłuższe felietony, a jeden z tygodników doszukał się nawet w tej drobnej pomyłce dalekosiężnych planów i szatańskich zamachów na kulturę polską. Sądzę, że od tysiąca ankiet ten mój jeden lapsus lepiej i trafniej pokazał, czym żyją i czym się karmią oświecone sfery naszego społeczeństwa.

A teraz wracam do Jaszcza. Bardzo go podziwiam i cenię. Trudna to i niewdzięczna rola być codziennym cenzorem naszej moralności i gramatyki. Jaszcz spełnia to zadanie z wielkim samozaparciem. Jest już niemal panem Ppudhomme naszych czasów.

Osobiście jestem mu zresztą niezmiernie wdzięczny. Z jego recenzji o „Mitologii i realizmie" dowiedziałem się bowiem, że metr platynowy przechowują nie w Paryżu, lecz w Sèvres, i jeszcze o paru innych równie prawdziwych i niewątpliwych faktach. Ale z jego ostatnim atakiem („Czyimi śladami", „Odrodzenie", nr 1 [110]) nie mogę się zgodzić. Nieporozumienie jest zbyt duże. I humorystyczne.

O cóż chodzi. Namawiałem w świątecznym „Przekroju" Malwinę, aby obejrzała w paryskim muzeum Carnavalet stare sztychy i opowiedziałem o nich dwie anegdoty. Rzecz wydawałoby się niewinna. A tu zaraz gromy Jaszcza. Wypisał pół stroniczki z encyklopedii i dalej mnie strofować, że inkrojable i ich stronne towarzyszki to poprzednicy korporantów i faszystów, a ja ich tymczasem klepię życzliwie po ramieniu, i jeszcze, że całą tę złotą młodzież mieszczańską przeniosłem z czasów Wielkiej Rewolucji w okres Napoleona...

Spokojnie. Ci uperfumowani „muskadyni", jak ich słusznie nazywa Jaszcz, nie wyginęli za dyrektoriatu, maczali palce w „18 Brumairze" i przeżyli konsulat. Wtedy właśnie razem z Beniaminem Constant i panią de Staël, która nigdy nie splamiła się imieniem uzurpatora i mówiła o nim zawsze per pogardliwe Buonaparte, tworzyli coś w rodzaju opozycji liberalnej, przeciwstawiającej się jedynowładztwu i szychowi cesarskiemu Napoleona. Z różnych grup składała się ta opozycja: byli tam i arystokraci i synowie wielkich finansistów i szanowne familie wielkiego mieszczaństwa i wreszcie „ideolodzy" — mistyczni i nauczyciele jakobinów, jak choćby Destutt de Tracy i całe jego otoczenie. Wtedy właśnie powstała nazwa „inkrojablów".

Reakcjoniści, faszyści, korporanci, złota młodzież mieszczańska! Śmieszy mnie trochę tradycjonalizm Jaszcza. A może tak warto byłoby się zastanowić, czy „18 Brumaire" nie był ocaleniem rewolucji, rewolucji, która odrzuciła swoją mitologię i utrzymała istotne zdobycze: własność rolną od feudalnych zależności, równość wobec prawa, armię powszechnego zaciągu, mieszczaństwo u władzy, scentralizowaną administrację państwową. Wtedy spojrzymy inaczej i na złotą młodzież mieszczańską sprzed 150 laty. Ale to są sprawy zbyt serio dla tego marginesowego sporu.

Jeszcze tylko jedna uwaga. Trzeba dobrze znać historię i współczesne życie Francji, aby ferować wyroki o postępowości i reakcyjności tradycji historycznych i kulturalnych. Nie pisano dotąd w prasie polskiej o tzw. ruchu „razou". Było to w Paryżu, w pierwszym roku okupacji niemieckiej. Młodzież zaczęła się na przekór strojnie ubierać, paradować z wyzywającą miną po Quartier, drwić i chichotać ze wszystkich świętości, żartem i szyderstwem odpowiadać na kult „Marszałka" i kłamstwa o odrodzeniu Francji i nowym ładzie w Europie. Dziecinnada! — powiecie. Możliwe. Ale posłuchajcie Francuzów. Z ruchu „razou" wyrasta w Quartier Latin pierwsza „Résistance". A ruch „razou" nawiązywał zupełnie świadomie do inkrojablów i wykwintniś.

„C'est incroyable" — możliwe drogi Jaszczu. I nie należy dlatego się oburzać na oglądanie starych sztychów.

jk

PRZYCZYNKI DO ERYSTYKI

W opowiadaniu Gogola „Jak Iwan Iwanowicz pokłócił się z Iwanem Nikiforowiczem" jest znakomita scena, gdzie pierwszy z bohaterów proponuje drugiemu kupno strzelby. Zapytany, co ofiaruje w zamian, wymienia burą świnię i dwa worki owsa.

— Jak to — mówi oburzony sprzedawca. — Dwa worki owsa za strzelbę?

— No, przecie nie tylko dwa worki owsa, ale i burą świnię, na dodatek.

— Jak to? Burą świnię za strzelbę?

— No, przecie nie tylko burą świnię, ale i dwa worki — itd., itd.

Niektóre nasze dyskusje przypominają, niestety, ów sławetny spór. Dyskutanci stale zapominają o połowie użytych przez nas argumentów, chwytając się szczegółów ubocznych, często z istotą dyskusji niewiele mających wspólnego. W mym liście, skierowanym do redakcji „Odrodzenia" (nr 106) zarzuciłem Janowi Kottowi, że przekręcił moje słowa, twierdząc, jakobym „treść dzieła chciał interpretować historycznie, w formie dopatrując się pobudek nieświadomych", gdy ja, przeciwnie, formę interpretuję historycznie, treść zaś uważam za znacznie luźniej związaną z epoką. Apologii Kotta podjął się rdc. w świątecznym numerze „Kuźnicy": zamiast jednak bronić go przed postawionym mu przeze mnie zarzutem nieścisłości, zbija moje twierdzenie, jakoby treść była luźniej niż forma związana z warunkującą obydwie epoką. W ten sposób mija się z tematem mego listu: bez względu bowiem na to, czy twierdzenie moje jest słuszne, czy błędne, faktem pozostaje, że Kott zacytował je w sposób fałszywy.

Jeśli zaś chodzi o meritum sprawy, rdc. ułatwił sobie zadanie, cytując jako przykłady ściśle historycznego uwarunkowania treści Balzaka czy Musseta, pisarzy, traktujących o współczesnych im sprawach. Filologowie jednak znają wypadki identycznych, choć pochodzących z różnych epok, opracowań tego samego mitu (38 Amfitrionów). Jakiż mają sposób, by dzieła te umieścić w historii, jeśli nie znamiona formalne? Znaleziony w piaskach egipskich fragment tylko formą swą zdradza swą przynależność czasową: treść i tematyka wspólne są całej starożytności. Jeśli dwu poetów francuskich, Leconte de Lisle i André Chénier, opracowało poetycko tę samą legendę starożytną, to różnica między nimi jest czysto formalna: pierwszy — zgodnie z wyobrażeniami Drugiego Cesarstwa — ujmuje starożytność dostojnie, drugi — w stylu osiemnastowiecznym — frywolnie.

Rdc. dziwi się, że — jakkolwiek podana przeze mnie formuła jest elementarnie prosta i przejrzysta — nikt — przede mną — na nią dotychczas nie wpadł. Wierząc — w przeciwieństwie do rdc. — w możliwość odkryć w dziedzinie humanistyki, szczęśliwy byłbym, gdybym był jej absolutnie oryginalnym autorem. Niestety, nie mogę się tym poszczycić. Jest to bowiem stała metoda pracy filologów; w tym samym zresztą liście, z którym polemizuję, rdc. cytuje formułę Claude Magny, zbliżoną do mojej.

Artur Sandauer

KRONIKA ILUSTROWANA

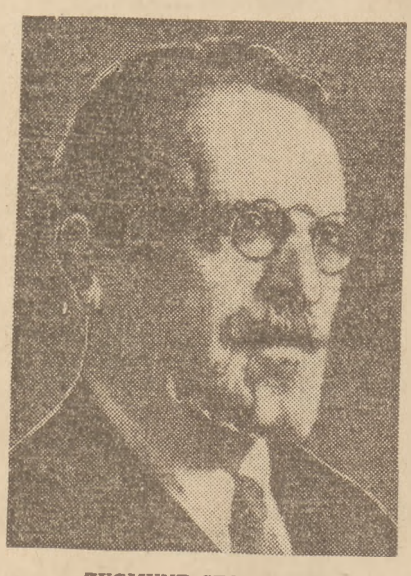

ZYGMUNT STOJOWSKI
znany muzyk, zmarł na obczyźnie

KRONIKA FILMOWA

„Romans pajaca", film produkcji francuskiej; scenariusz — **Jacques Prévert**, reżyser — **Marcel Carné**.

Druga część „Komediantów" (tytuł oryginału „Les enfants au paradis") jest niewątpliwie lepiej zrobiona od pierwszej. To, co tam było nieprzemyślaną i niewybredną groteską, uległo uspokojeniu, „uklasyczniło się" i nabrało stylu. W treści od wzorów Wiktora Hugo przesunęło się ku Dumasowi, a to już znaczny postęp. Problem pozostał nadal melodramatyczny, ale kilka głębszych akcentów psychologicznych potrafiło wzbudzić zainteresowanie dla losów dalekich już dzisiaj w swoim komediancтwie pionierów teatru francuskiego, tak okropnie fałszywych na scenie, a mimo wszystko wzruszających w prywatnym życiu. Ale tu znowu nasuwa się szkopuł, czy reżyser nie przeholował w podkreślaniu groteskowości przedstawień wmontowanych w akcję jako ilustracja klimatu ówczesnej sceny francuskiej. Za takiego Otella, jakiego pokazał Fryderyk Lemaître, nie tylko w XIX wieku, ale już za czasów Szekspira — należało by go zamordować.

Na początku sytuacji romansowej bohaterów orientujemy się, że aktoreczka Garance „poszła na garnuszek" do bogatego jak Nabab hrabiego de Monteray, uwodziciel Fryderyk zbiera już laury jako wsławiony aktor, podobnie jak pierrot-Baptysta, który się ożenił z córką dyrektora teatru i ma synka. Garance nie może jednak wyrugować z pamięci wspomnienia o romantycznym pierrocie; po latach nieobecności w Paryżu zakrada się teraz do loży w teatrze i ogląda pantominy Baptysty. Przypadkowe spotkanie z Fryderykiem wyjaśnia jej sytuację: Fryderyk, który był zwycięskim uwodzicielem, musi się teraz kontentować rolą poczytaliona miłości i ma zaaranżować spotkanie z Baptysta. Pojawia się też mąciwoda-oprych Lacenaire, który, wyzyskując dyspozycje zazdrości dumnego pana Monteraya, szantazuje wszystkich, poczynając od Fryderyka a kończąc na Monterayu. W doskonałej scenie w foyer teatru między Fryderykiem, hrabią, Lacenairem i ukrytą na balkonie parą kochanków rozgrywa się decydująca partia. Hrabia prowokuje łotrzyka, stawiając pod znakiem zapytania jego dżentelmeństwo, Fryderyk z przekory sekunduje Lacenairowi, grupa obojętnych figur jeszcze podsyca starcie, które się kończy zdemaskowaniem Garance i Baptysty. Oburzenie hrabiego kieruje się, jak to często bywa, nie w kierunku właściwych krzywdzicieli, ale w stronę Fryderyka, który swoim dowcipem dojadł mu najwięcej. Grozi pojedynek, który nie dochodzi do skutku, udaremniony skrytobójczym mordem Lacenaire'a na Monterayu. Tymczasem para kochanków, pozostawiona na razie na marginesie konfliktu, spędza wspólnie jedyną swoją noc miłości w dawnym hoteliku, który był miejscem ich poznania i przerwanego romansu. Ranek budzi ich z powrotem do rzeczywistości. Przychodzi zona Natalia upomnieć się o swoje prawa. Zresztą robi to z przedziwną skromnością, jest zdecydowana nawet ustąpić, byle Baptysta spędził ten dzień z synkiem, przebranym na kiermasz i przyprowadzonym pod bramę. Jest to scena o największej prawdzie wewnętrznej, prostocie wyrazu i uczuciowym ładunku. — Niech Garance — mówi mniej więcej Natalia — zmierzy swój czar jednodniowy z sześcioletnim pożyciem małżeńskim, swoją romantyczność z jego prozą, niech pozostanie już teraz na zawsze i zniszczy się jako kochanka w tym właśnie dniu powszednim. — Ale Garance ucieka; na próżno szuka jej Baptysta, rzucając się jak opętany w karnawałowym tłumie na ulicy. I to jest koniec.

O przychylnym nastawieniu widza w tej drugiej partii „Komediantów" decyduje wyraziste już postawienie charakterów, zwięźlejsza budowa konfliktu, i nade wszystko spokojniejsze wytrzymanie obrazu. „Les enfants au paradis" — jak powiedziałem — są już daleką historią, zatrzymanym w czasie tableau obyczajowym Paryża, kopią zdjętą sprzed wieku — tak jak obraz ulic Paryża — z autentycznego sztychu.

Marian Promiński

ŻYCIE MUZYCZNE W KRAKOWIE

Bardzo ciekawym i dla naszego świata muzycznego ze wszech miar pożądanym urozmaiceniem sezonu koncertowego był urządzony przy pomocy placówek dyplomatycznych koncert w Filharmonii w dniu 3. I. z udziałem muzyków amerykańskich, Franca Autori (dyrygenta) i Normana della Iojo (pianisty). Pożądanym przede wszystkim dlatego, że nowoczesna muzyka amerykańska, która zyskała po pierwszej wojnie światowej duży rozgłos, u nas była prawie nieznana. Jedyny utwór, który zdobył pewną popularność przez rozpowszechnienie na płytach, to „Błękitna rapsodia" Gershwina, bardzo charakterystyczna dla współczesnej muzyki amerykańskiej, rozwijającej się w silnej zależności od jazzu. Jazz, który w Europie stał się prawie synonimem muzyki rozrywkowej, w Ameryce odegrał rolę zupełnie inną. Stał się on tam tym, czym u nas muzyka ludowa. Na międzynarodowych festiwalach Towarzystwa Muzyki Współczesnej słyszało się niejeden bardzo interesujący utwór współczesnych kompozytorów amerykańskich, będący artystyczną syntezą jazzu i najnowszych zdobyczy techniki kompozytorskiej. Trzeba przyznać, że ów prawdziwy, nie skażony wpływami, jazz amerykański miał istotnie wiele elementów regeneracyjnych: olbrzymią świeżość, bezpośredniość i pierwotną siłę rytmu, do której tęskniła cała zachodnia muzyka fin-de-siècle'u.

Koncert w Filharmonii Krakowskiej był interesujący z tego względu, że zapoznał nas z nurtami współczesnej muzyki amerykańskiej. Z przedstawionych utworów najwartościowszym i najbardziej charakterystycznym były Ricercary Normana della Iojo (na fortepian i orkiestrę), skomponowane w formie cyklu 3-częściowego. Jak wiele współczesnych kompozycji amerykańskich, powstał on pod znakiem jazzu. Wziął od nich nerw rytmiczny o charakterystycznej synkopie, werwę i lekkość, nawet melodykę i harmonię, które — choć nie wolne od innych wpływów — mają swój bardzo specyficzny wdzięk; całość utrzymana jest w małym formacie, polifonia precyzyjna, koloryt delikatny, znać rękę wrażliwego muzyka, świadomego swego rzemiosła. To samo cechuje Normana della Iojo jako pianistę. Wykonał swój utwór bardzo muzykalnie, przedstawiając oczywiście swoją sztukę odtwórczą w nieco jednostronnym świetle, ale za to jak najlepiej. Czasem miało się wrażenie, że dyrygent wysuwał koncepcję niezupełnie zharmonizowaną z koncepcją kompozytora, niemniej w całości uznać należy wykonanie za udałe i interesujące.

Mniej ciekawa dla naszej publiczności była Suita z baletu znanego kompozytora amerykańskiego Coplanda: posługiwanie się motywami ludowymi nie ustrzegło kompozytora przed łatwiznami, zupełnie niestrawnymi na sali koncertowej (konflikty te zresztą dość częste, gdy przenosi się muzykę baletową na estradę). Całkiem nieinteresujące okazało się Adagio na orkiestrę smyczkową S. Barbera, blade w koncepcji i eklektyczne w technice.

Prócz utworów amerykańskich usłyszeliśmy w interpretacji **Frasca Autori** „Kaprys hiszpański" Rimskiego-Korsakowa i Mozarta Symfonię D-dur. Dał w niej dowody bardzo dobrej techniki kapelmistrzowskiej i dużego temperamentu artystycznego. Można się wprawdzie spierać o to, czy koncepcja Symfonii mozartowskiej była najtrafniejsza (nawet gdy przetransponujemy nasze wyobrażenia o muzyce mozartowskiej na grunt ściśle współczesny), a przecież była to dobra muzyka.

Na zakończenie prośba pod adresem naszych placówek dyplomatycznych, które obecnie trzymają nici, wiążące nie tylko naszą politykę, ale i naszą sztukę z zagranicą: by jak najczęściej pomagały w urządzaniu takich koncertów wymiennych i pozwoliły nam zajrzeć poza kurtynę, kryjącą ostatnie wydarzenia w obcych środowiskach muzycznych. Jest to konieczne dla nawiązania kontaktu z tymi środowiskami i dla normalnego rozwoju życia muzycznego w naszym kraju.

W okresie przedświątecznym było kilka ważnych wydarzeń w życiu muzycznym Krakowa. Pierwszym był recital skrzypcowy **Grażyny Bacewiczówny**. Niezwykle udały ten koncert przedstawił młodą skrzypaczkę w programie bardzo wszechstronnym i interesującym. Zwróciły zwłaszcza uwagę Nokturn i Tarantella Szymanowskiego, odegrane z podziwu godną dojrzałością muzyczną i techniczną. Znalazła się również w tym programie i Suita Bacewiczówny w stylu staroklasycznym, zgrabnie napisana, posuwająca się w stylizacji do użycia środków dźwiękowych i harmonicznych ściśle w duchu epoki.

Warto zwrócić uwagę na odbywające się stale, dwa razy w miesiącu, audycje Polskiego Radia z zakresu dawnej muzyki. Jest to jedyna niemal sposobność usłyszenia dawnych dzieł — przede wszystkim polskich — nie wykonywanych prawie na koncertach publicznych. Ostatnia audycja — która odbyła się w tygodniu przedświątecznym — miała wyjątkowy charakter: była to audycja jubileuszowa Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki, które — założone w Warszawie w latach międzywojennych przez T. Ochlewskiego, obecnego dyrektora Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, T. Zalewskiego i Br. Rutkowskiego — położyło ogromne zasługi dla popularyzacji tej muzyki. W audycji, która zgromadziła wszystkich założycieli i warszawskich współpracowników tej instytucji, i w której wzięły udział orkiestra Polskiego Radia i chór Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie, wykonane zostały m. i. piękny Psalm 136 Gomółki, Motet Mielczewskiego i Koncert na obój B. Marcella (świetne wykonanie partii solowej przez prof. Śnieckowskiego).

Stefania Łobaczewska

„PANNA MALICZEWSKA" WE WROCŁAWIU

Teatr Miejski we Wrocławiu wystawia obecnie sztukę G. Zapolskiej „Panna Maliczewska". Na zdjęciu ANNA JAKOWSKA w roli tytułowej

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12 — Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 120 zł.
M — 14 678 Złożono w Drukarni Narodowej, odbito w Pierwszej Drukarni Państwowej w Krakowie — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".